ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXXI—XXXIII.
DNIA 2. SIERPNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ"
(„KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE „ART. „TĘCZA".

Treść niniejszego zeszytu na ostatniej stronie tekstu.

CENA TEGO ZESZYTU 80 HAL.

Fabryczny skład szczotek i pendzli

Lwów, ulica Kopernika 11.

poleca: wszelkie rodzaje szczotek i pendzli do użytku domowego, fabrycznego i przemysłowego, oraz pendzli artystycznych, malarskich i lakierniczych wyłącznie Krajowy wyrób.

Zlecenia z prowincyi odwrotną pocztą.

H. Czerwińska.

PIERWSZY KRAJOWY

ZAKŁAD ART. GRAFICZNY ELEKTRYCZNIE URZĄDZONY

A. HEGEDÜS

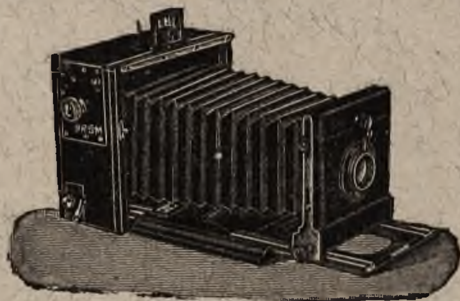
LWÓW KOPERNIKA 18

WYKONUJE ARTYSTYCZNIE: KLISZE DRUKARSKIE WSZELKIEGO RODZAJU DLA ILUSTRACYI KSIĄŻEK DZIENNIKÓW CZASOPISM ANONSÓW CENNIKÓW ITP.

FOTOCYNKOGRAFIA
AUTOTYPIA
FOTOLITOGRAFIA
ŚWIATŁODRUK

TELEFON 1675

o cenach nader przystępnych, wykluczaczających wszelką konkurencyę.
Portrety powiększa do naturalnej wielkości z każdej fotografii.



JAN BUJAK

Specyalny skład i warstat
- reparacyjny aparatów -
- - fotograficznych. - -

WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA L. 14.

poleca

APARATY, NAJNOWSZE MODELE. —
PŁYTY I PAPIERY FOTOGRAFICZNE
Z ANGIELSKIEJ FABRYKI WELLINGTON
CENY FABRYCZNE.
WYWOŁYWANIE KLISZ I KOPIOWANIE.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE

poleca na sezon budowlany do opału gazem:

Kuchnie, piece kąpielowe, aparaty techniczne i do rozprowadz nia gorącej wody, odznaczające się trwałością i zupełnem bezpieczeństwem w użyciu.

Lokal wystawowy i do sprzedaży w pasażu p. Mikolascha.

Zalety opału gazem: Wygoda i łatwośc w obsłudze, nadzwyczajna czystość, natychmiastowe wyzyskanie ciepła i taniość.

Urządzenia dla 3 płomieni świetlnych i 2 kuchennych przy użyciu zegarów automatycznych, wykonuje Zakład gazowy własnym kosztem.

Bliższych warunków można zasięgnąć **w biurze Zakładu przy ul. Gazowej 28.**



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

W. LIS.

„MĘCZENNICY“.



oliczek wymierzony p. Dmowskiemu był uderzeniem lancetu w miejsce dawno schorzałe i domagające się kuracyi radykalnej. Plaster stosowany przez „Gazetę Warszawską“ w postaci drukowania w każdym numerze kilkunastu przeciętnych polskich nazwisk pod „adresami kondolencyjnymi“, nie zatamuje upływu krwi. Lista osób, które opuściły stronnictwo Narodowo-demokratyczne po znieważeniu jego szefa, jest napewno większa od tej, którą „Gaz. Warsz.“ ogłasza.

Nie pomógł i drugi plaster — buńczuczny „List otwarty do nieznajomych“, ogłoszony przez p. Dmowskiego nazajutrz po napaści i grożący wszelkiemi możliwemi torturami, aż do kary śmierci włącznie, „niewiadomemu“ napastnikowi. Gdyż ten „niewiadomy“ napastnik wręczył swój bilet wizytowy p. Dmowskiemu przed znieważeniem go, nazajutrz nazwisko jego stało we wszystkich gazetach, a jednak... żyje on i chodzi dotąd cało.

I trzeci plaster zawiódł. Miało nim być „honorowe“ załatwienie sprawy przez p. Zygmunta Balickiego, który poszedł wyzwać sprawcę napadu, ale zadowolnił się szeroko opisywanem niezastaniem go w domu, a spotkawszy go później w bramie, „wyraził swe niezadowolenie“ i uznał honor p. D. za oczyszczony. Bo w takich wypadkach albo uważa się pojedynek za dopuszczalny i wtedy on musi się odbyć — chyba że przeciwnik odmawia go lub stchórzy — albo nie robi się szopek. Ale domagać się pojedynku, a potem zasłaniać się pretekstami formalnymi, poczerpniętymi z tego czy owego paragrafu „Kodeksu honorowego“, ułożonego przez p. Pomiana lub kogokolwiek innego, — to znaczy składać jeszcze jeden dowód swego krętactwa.

Zwykle opinia publiczna uważa znieważenie kierownika partyi za dowód, że w tej partyi coś się psuje. Opinia często się myli, gdyż nikt nie jest zabezpieczony przed napaścią bezmyślną lub złośliwą. Ale w tym wypadku zdaje się, że opinia ma racyę.

* * *

Konfederaci, którzy podpisują obecnie akces do uniwersału, mającego oczyścić „honor“ p. Dmowskiego, nazywają zgodnie napaść na niego — „dziką i nikczemną“, piętnując temi słowy stosowanie rozprawy fizycznej przy porachunkach politycznych. Bardzo pięknie. I my jesteśmy tego zdania, że w warunkach normalnych walka polityczna powinna polegać wyłącznie na przekony-

waniu się wzajemnie. Nie będziemy nawet analizowali tego, czy warunki w których żyjemy, są normalne, czy nie? Ale sięgniemy w przeszłość i przypomnimy pewien wypadek analogiczny.

Ironia losu chciała, że „nieprzyjemność", której ofiarą był p. D., zdarzyła się w roku jubileuszowym słynnego w swoim czasie bicia redaktorów — ugodowców w Warszawie. W r. 1891, za wypowiedzenie się przeciwko demonstracyi patryotycznej, pięciu kierowników pism ugodowych w Warszawie dostało po twarzy. Akcya ta dokonaną została przez młodzież narodową, której kierownikiem był właśnie p. Dmowski! A wtenczas nie było to przez „opinię" przyjaciół politycznych p. Dmowskiego uważane za „dziką i nikczemną napaść". Przeciwnie, radość po dokonanem pomyślnie biciu była niesłychaną, opowiadano sobie anegdotki o redaktorze, do którego przez omyłkę przyszła po raz drugi kompania studencka i który przywitał ją z twarzą obwiązaną — słowami: „u mnie już byli" i t. d. A jednak tamci ludzie zgrzeszyli tylko wypowiadaniem swych przekonań — nikczemnych, ugodowych, służalczych, ale w każdym razie szczerych przekonań, nie popełnili zdrady, jak to się stało obecnie. W dodatku, wszyscy ówcześni „bici" byli typowymi literatami, ludźmi pióra i gabinetu, nie rozprawy fizycznej, gdy p. Dmowski jest rosłym chłopem, typem andrusa nadwiślańskiego, który potrafi obronić się od napadu.

* * *

Ale to są „grzechy młodości", z których p. D. i całe jego stronnictwo dawno już wyrosło. Owszem. Endecya rzeczywiście nie bije już dzisiaj ugodowców, lecz brata się z nimi. Czy jednak pomimo tego wyrzekła się ona załatwiania porachunków politycznych za pomocą „rozprawy fizycznej"? P. Dmowski ma pod tym względem gorsze występki, ba, prawdziwe zbrodnie na sumieniu.

Rok niniejszy jest dla endecyi jubileuszowym jeszcze z jednego względu. Cztery lata temu lała się w Łodzi „krew bratnia", jak to p. D. z uśmieszkiem zadowolenia stwierdził na zebraniu w Filharmonii. A wtedy agenci endeccy nie bili po twarzy, ale wywoływali agitatorów socyalistycznych przed fabrykę i rozstrzeliwali ich w kilku; albo wpadali do mieszkania robotniczego i mordowali ojców rodziny, w oczach ich żon i dzieci, albo rewidowali przechodniów na ulicy i za znaleziony numer „Robotnika" palili w łeb; wtedy na ulicy rozlegały się komendy: „z kolana! pal w imię boże!", poczem salwa brauningowa kładła trupem naraz całe biuro socyalistyczne, wychodzące z swego lokalu, pół tuzina bezbronnych chłopców i dziewcząt. I kto takich środków używał nie przeciwko rządowi najezdniczemu, nie przeciw tyranii carskiej, ale względem rodaków, mających inne przekonania polityczne, ten zaiste nie ma prawa skarżyć się na „dzikie" napaści.

* * *

Nie byłem nigdy narodowym demokratą, więc nie wiem, jaka jest psychologia endecka. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że w każdej wielkiej partyi politycznej (a nią endecya była przez pewien czas) większość członków wierzy w program partyjny. To też wyobrażam sobie, co się dziać musi w duszy człowieka, którego wychowano w przekonaniu o konieczności powstania zbrojnego, mającego wywalczyć niepodległość, i który potem czyta o adresie ugodowym do cara, uchwalonym w Dumie przez członków Koła Polskiego, albo o tem, że silna armia rosyjska leży w interesie narodu polskiego! A weźmyż tę samą sprawę bojkotu. Toż to narodowi demokraci byli właśnie owymi bojkocistami *à outrance*, którzy uważali za „zdradę narodową" zapisywanie się na uniwersytet nie w Warszawie, ale w Kazaniu lub Odessie. I gdy młodzież postępowo-niepodległościowa, obstając twardo przy bojkocie szkoły rosyjskiej w Królestwie, zezwalała jednak na udawanie się do uniwersytetów, które nigdy polskiemi stać się nie mogą, to jakich zarzutów jej nie szczędzili ci sami ludzie, którzy dziś nagle bez żadnej widocznej przyczyny, zmieniają front! To też wydaje mi się rzeczą zupełnie naturalną, że takie stałe wodzenie za nos mas ludowych, musi w końcu wywołać z ich strony żywiołowy odruch pogardy i oburzenia, przejawiający się nazewnątrz w postaci czynów zemsty.

Urzędowy organ endecyi, widząc, że dawny urok partyi znika i że publiczność nawet własna zaczyna się do czynów partyi odnosić krytycznie, usiłuje zrzucić z siebie odpowiedzialność za popełnione błędy. „Gazeta Warszawska" przyznaje (Nr. 186, artykuł wstępny), że były postępki „często niedorzeczne, a czasami bardzo szkodliwe", lecz że popełniali je właśnie ci, którzy teraz partyę opuścili, a kierownictwo partyjne, przez wrodzoną miękkość serca, brało za to wszystko na siebie odpowiedzialność. Gdyby nawet tak było, świadczyłoby to jeno o niebotycznej głupocie tego kierownictwa; w rzeczywistości jednak sprawa wygląda inaczej. Kierownictwo Nar. Dem. stanowi chyba najbardziej jaskrawy w całym świecie cywilizowanym przykład kliki, która kłamstwem, obłudą, hipokryzyą i zdradą usiłowała zdobyć sobie znaczenie. Panowie ci kłamali ciągle, kłamali bez zająknienia, na dwie strony, i doszli do tego, że im ani jedna, ani druga strona wierzyć nie chce. A dopóki im wierzono, to musiało się zdarzać, że jedni ich zwolennicy szli na prawo, drudzy na lewo i jeżeli oni teraz takie rozbieżne czyny nazywają „szkodliwymi postępkami", to policzkują tem swoją własną przeszłość.

Jedynem usprawiedliwieniem matactw i zbrodni endeckich jest to, że narodowi demokraci działali w społeczeństwie nie dość rozwiniętem politycznie, które, po 100 z górą latach niewoli, znalazło sposobność życia bardziej intenzywnem życiem publicznem. W społeczeństwie takiem łatwo było pociągnąć masy frazesem. Endecy na to spekulowali: szafowali frazesami na wszystkie strony, licząc, iż się nikt nie zoryentuje w ich dwulicowości: wyzyskiwali bezwzględnie błędy przeciwników i myśleli, że wystarczy dla uzyskania nazwy „narodowego" stronnictwa, gdy wielki krzyk podniosą z powodu jakiegoś niedorzecznego odezwania się „Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego". Zawiedli się. Inne, bardziej wykształcone politycznie społeczeństwo poznałoby się na nich prędzej. U nas trzeba było na to lat pięciu, ale przyszła godzina sądu.

Pan Dmowski i jego przyjaciele mają tylko to, co sobie sami zgotowali.



ST. FALKIEWICZ.

POEZYE.

JUŻ BLIZKI CZAS!

Już blizki czas mych snów rzeczywistości,
gdy z mglistej nocy rojeń wzejdą one:
w słońca blaskach, z krwi tętniącej i z kości
twardej, w marmuru kształty wkrysztalone.

Już blizki czas, gdy stopa moja twarda
udepta szlak na podsłoneczne granie —
jak w sercu wroga, rozmachem oskarda
wyryję ślad, co wieczny pozostanie!

Już blizki czas, a jednak tak daleki
najwyższy życia wirch i tak bezkresny,
tak wiele trudów czeka dziennej spieki
i nocnych zbłąkań bezsiły bolesnej...

Już blizki czas — wiem, blizki, jednak cienia
poręki nie mam — chyba w snów tęsknocie —
z duszy dobędę wino upewnienia
i niem upity wzlecę — ptak w odlocie!

W NIEWCYRCE.

Bogu, że blaskiem swej zorzy
jak marzeń tęczą olśnił moje oczy,
że gwiazdy zasiał na nieba przeźroczy
i mnie jak ojciec, gdy rękę położy
na głowie syna, uspokoił ciszą —
te dzięki składam. Drzewa się kołyszą

W mgłach i niosą wzwyż hymn mój dziękczynny
i z szumem kładą na niebieskim progu
jak senne szepty modlitwy dziecinnej —
Te dzięki składam wirchowemu Bogu,
że gwiazd i słońca ostatnie promienie
kładł mi na głowę i dał w śnie wytchnienie.

Zapracowałem na ten wieczór cichy
żmudną i znojną po kamieniach drogą —
Kwiaty rozwarły w modlitwie kielichy,
wirchy uklękły jak rycerze srogą
bitwą zmęczeni. — Czułem jak nad szczyty
wśród mgły płynęła pieśń wieszcząca świty...

Za snu legendy i mocarne tchnienie,
za te kościelnych stropów cherubiny
pełniące w grani straż nad snem doliny,
za trosk i smutków dziennych oddalenie
jutro Ci dzięki złożę na granicie
skąpany w słońca blaskach i w błękicie!



MIECZYSŁAW RETTINGER.

STUDYUM O REYMONCIE.

I.

KOMPOZYCYE.

Ruskin powiedział: musimy widzieć — aby myśleć. Miarodajna opinia wielkiego obserwatora piękna najsłuszniejszą się wyda w innym zakresie przy zastanawianiu się nad istotą ludzi Reymonta. Ich sposób myślenia jest warunkowany polem bezpośredniego widzenia. Rzeczy dostrzeżone istnieją. Przeżytych, przeczutych niema, w każdym razie nie zwracają naszej uwagi. Są przyćmione połyskiem rzeczy widzianych. Ogarnięcie wzrokiem jest zabraniem pod władzę, pod nieprzezwyciężony urok człowieka, który coś zobaczył. Gdy Reymont po napisaniu »Fermentów« i «Ziemi obiecanej« zapowiedział »Chłopów«, nikt nie powinien był wątpić o jakości przedmiotów, które z życia chłopskiego do opracowania i wyrażenia wybierze Reymont.

Ludzie jego nie ulegają ani nie zwyciężają, tylko bądź zaostrzają swój wzrok aż do spostrzeżenia rzeczy subtelnych i miękkich, bądź ślepną do tępoty filistrów.

Pouczającą pod tym względem jest próba satyryczna Reymonta »Z pamiętnika« a także sponiewierany przez sprawozdawców »Marzyciel«. Warszawska pensyonarka — jej rodzice są komiczni bezradnością ludzi, postawionych w fałszywej sytuacyi.

Reymont chciał z tego zrobić satyrę, wychodząc ze słusznego teoretycznie założenia, że satyrą jest ścieśnienie tematu do absurdalnych kontrastów, zwyczajnie omijanych przez nijakość życia powszedniego. »Marzyciel« natomiast był człowiekiem płytkim, który miał głębokie wmówienia.

Co do jakości marzeń tego podurzędnika kolejowego nie można mieć złudzeń. Więc o co chodzi?

Czy Reymont napisał piękną nowelę, czy marzyciel przekonał się o zbędności głębokich wmówień? Zdaje się, że druga ewentualność lepiej odpowiada założeniom »Marzyciela«. Samobójstwo w Paryżu było podyktowane w tym wypadku smutną niemożliwością powrotu do kraju. Ale co się tyczy samego marzenia, to jedynie obowiązującym nas faktem było jego wyczerpanie się.

A czy po wyczerpaniu się następuje długi okres wegetacyjnego bytowania, czy śmierć, to nas nie obchodzi, gdyż nie należy do jądra sprawy.

Sam proces wyczerpywania się siły wzrokowej, możności widzenia, jest przeprowadzony dosadnie i przekonywująco. Teraźniejszość z jej zadaniami bezpośredniemi, kołem interesów i starć stanowi kres zamierzeń ludzi Reymonta. Nie przewidują oni, ani oceniają. Gdy Janka Orłowska czyni jedną ze swoich mądrzejszych rzeczy: odmawia swej ręki Grzesikiewiczowi — odchodzi on zmiażdżony. To samo w »Fermentach« po scenie czytania anonimu. Nawet Trawiński lub Wysocki nie rozporządzają żadnym zapasem refleksyi wobec codziennych zdarzeń, których igraszką się stali. Witowscy, Trawińscy zdobywający się na pewną ocenę swego stosunku do życia — normę do swego głównego czynu biorą z poza swego życia, jakieś widzenia cudzego dorobku, cudzej myśli. Witowski chciał wobec Janki tej zamej metody spróbować, której ze skutkiem względem niego użyła: chciał uczynić się autorytetem dla niej i rozstrzygać.

Nic naturalniejszego jak to, że zawiódł się gruntownie.

Ustęp z opowieścią o wysiłkach Witowskiego czaruje — pomimo dziwactwa w sytuacyi — jasnością i konsekwencyą wszystkich cech, znaczących odporność Janki i nieaktualność porywów Witowskiego. Fakt otrzymania odkosza przez Grzesikiewicza jest sam przez się mało interesujący, a nie otrzymuje żadnego komentarza.

Zgnębienie Grzesikiewicza jest wyrazem jego wielkiej miłości. Być może, lecz logicznie uproszczając i inne ustępy, otrzymalibyśmy książkę, pisaną psychologiczną stenografią — nie powieść.

Dawniej powiedzianoby: obrazki, z jakimś przymiotnikiem (»piękny«, »charakterystyczny«) i zadowolonoby się tem, tylko pozornie rozstrzygającem określeniem. Dodajmy przecież, że niechybnem jest doszukiwanie się u autorów wybitniejszych, już to ukrytej, już to lekko zaznaczonej treści w słowach, kiedyindziej nie zwracających uwagi.

Co się tyczy Reymonta, wybierając z mnogości jeden przykład, natrafiamy na wykrzyk przy końcu mało interesującego opowiadania o pewnym smutnym młodym inżynierze, który, nie bacząc na uboczne względy, rozkochał się w wiejskiej dziewoi i »byli szczęśliwi! szczęśliwi!«; w szczęściu tych dwojga może zawierać się równocześnie wiele i mało. Wiele, jeśli Reymont podkładał pod wykrzyknik treść zwycięskiego, bogatego w miłość życia, które mimo różnic społecznych i umysłowych przerwało czasowe tamy, zagarniając pod swą władzę tak mężczyznę, jak i kobietę. Mało, jeśli wykrzyknik był stylistycznem zakończeniem opisu pocałunków, które narzeczeni przed chwilą zamieniali. Reymont jest jednym z tych ludzi, u których jest dużo miejsca na podobne wątpliwości. Obchodzimy z nim nieraz ogromną część losu człowieka, zaledwie od czasu do czasu narażając się na pożądane niebezpieczeństwo schylenia się nad wnętrzem, a prawie nigdy nie spuszczając z oka zewnętrznej architektury wypadków, zamierzeń, wybryków.

Każdy jest kowalem swego losu. Nie czem innem można wytłómaczyć, że stosunek Reymonta do historyi lat ostatnich jest głęboko etyczny i wśród powszechej dezoryentacyi śmiały. W powodzi płonących słów (Entuzyazmy i oszczerstwa) Reymont w dwóch czy trzech nowelach ukazywał, że nawet wśród paniki bezmyślnej trzeba utrzymać siebie samego jako wartość znaczącą wobec przyrody.

Utrzymanie wartości życia było dla Reymonta zdobyciem nowego rodzaju życia. Gdy potworna stolica, której wizerunek dał Reymont, zwaliła się pod ciężarem nienawiści i krzywdy, ginął wśród niej także człowiek, który nie zaznawał niczego oprócz nienawiści i krzywdy.

Pozostała, zawieszona między niebem i ziemią jednostka, która umiała potwierdzać swe życie twardym, bezlitosnym, ale pozytywnym czynem. Niedołęstwo dyalektyki, którą popularnie usprawiedliwia się morderstwo polityczne, wyświetlone zostało z przeraźliwą konsekwencyą człowieka prostego. Domagał się on odpowiedzi stanowczej, a wir usprawiedliwień po większej części nieoczekiwany, porwał go w drgający sprzecznościami odmęt sofizmatu.

Cały szereg komplikacyi pozostał z natury rzeczy niedostępny dla Reymonta, lecz jądra zagadnienia dotknięto świetnie i owocnie.

Rewolucyonista z r. 1905 otrzymał nareszcie głowę.

Po belletrystyce politycznej uprzywilejowanymi organami jego były zazwyczaj mięśnie — i powiedzmy — serce.

Tak to nieraz wpatrzeni w słynny posąg Herkulesa z lwią skórą zapominają, że prócz niesłychanych rąk i pięści, posiada posąg jeszcze głowę, zwieszoną pod ciężarem myśli niekoniecznie z technicznem zużytkowaniem muskułów w ścisłym związku pozostających. U Reymonta zagadnienia życia w rozmiarze i powadze takiej, w jakiej spotykamy je u Prusa, Żeromskiego, nigdzie nie istnieją same przez się t. z. w postaci n. p. jakiejś życiowej siły, która wyrzuca ludzi z dotychczasowej kolei, a zmusza ich do obrania i trwania na drodze innej.

Zagadnienia także wyrastają u Reymonta dopiero z samych ludzi. Są one rezultatem życia duchowego, nie jego przyczyną. Stąd częste u Reymonta powroty niejako do początku pracy umysłowej, w celu odbycia jej jeszcze raz poważniej i szczerzej.

Janina Orłowska drogę tę przebyła najgruntowniej, tak dalece, że naturalnym wynikiem nieustannych, przy pojmowaniu życia jako pracy umysłowej, więc ciągłej walki, starć było zmęczenie ułatwiające usunięcie się z pola walki, raczej całkowite zniesienie terenu dla najsłabszych wywalczeń, przezwyciężeń. Reymont wykładał psychologię Orłowskiej w myśl założenia bardzo prostego, lecz tem ważniejszego: nie posiadała środka, około którego mogłaby się skupić i opracować.

Powierzchowne entuzyazmy młodości narzucają pewne zamierzenie lub cel jako realizacyę najodpowiedniejszą, niezbędną. Cel dążeń leży przecież zawsze na zewnątrz jednostki, nie usprawiedliwia w najmniejszej mierze duchowego życia. Komedyantka Reymontowa wierzy w teatr jako coś odrzynającego się od nędzy życia prowincyonalnego. Szekspir pisał o ludziach nieznanych dotychczas Jance Orłowskiej. Wmyślała się w porywający ideał górnych, królewskich opowieści i to jej wystarczało.

Dla nas czytelników powinno być najzupełniej obojętnem, czem jest pierwszy ideał Orłowskiej. Teatr odgrywa w marzeniu jej taką rolę, jaką u innych odgrywa klasztor, pisanie wierszy, praca zarobkowa. Postawienie sprawy w »Komedyantce«, »Fermentach« uważam wskutek tego za ubogie. Gdyż w rezultacie jedyną częścią nową jest owiany mgłą niezdecydowanego erotyzmu »duch czasu«, który popycha Jankę, tę sympatyczną dziewczynę do teatru, a nie do klasztoru czy zawodu nauczycielskiego. Dawniej owinęłaby się jakaś Janka Orłowska w togę dziewiczości i wychowywała cudze dzieci — dzisiaj u Reymonta odpokutowała zamysł uczciwego stosunku do swoich potrzeb duchowych, nieszczęściem przymusu potwierdzenia anonimu, opowiadającego o kilku kochankach.

Z nieszczęścia wyratuje ją wyrozumiałość Grzesikiewicza. Jego późna rozpacz w momencie poznania fizycznych przejść Janki jest rażąco nieproporcyonalną do zdolności odczuwania życia przez całe otoczenie (Stary Orłowski, sama Janka). Dlatego potrosze jest śmieszną. Człowiek, który oryentuje się w duszy swojej kochanki na podstawie anonimu, może być katechizmowo prosty, lecz wobec poziomu etycznego Janki jest nieodpowiedzialnem dzieckiem. »Fermenty» poza formalnemi pięknościami znakomitego wypowiedzenia wielu odrębnych, mało w literaturze znanych nastrojów, są długą historyą obniżania etycznego poziomu Janki, na który wzniosła się swym niecodziennym losem »Komedyantki«. Na początku dla czytelnika wszystko wygląda tak, jakby Reymont miał zamiar Orłowskiej bronić — tymczasem on tylko dopasowywał nawzajem do siebie nierówne pochodzeniem i ja-

kością rozwoju dusze Grzesikiewiczów. To jest rozczarowanie w »Fermentach«, dziwny, jakby naumyślnie wywołany, a niedopowiedziany grzech przeciw Duchowi św. A podkreślić należy to tem ściślej, że w utworach Reymonta niema nigdy żadnych niejasności albo krzywizn. Już w pierwszych nowelach dotarł Reymont do wysokiego stopnia jasności i swobody w wyrażaniu właściwego piękna, który chciał nadać swym ludziom.

Zdychający rumak, rozpadający się posąg, są tematami, które z niebywałą wprawą stylistyczną opanowuje Reymont. Są one punktami zaczepienia, poza którymi właściwie nic nie istnieje, prócz wykończenia słownego. Pomimo więc ściśnienia skali wrażliwości, nastroje takie są rozwiewne i nieokreślone. Nie podnoszę tego na niekorzyść Reymonta. Nieraz wydarzyć się może, że tylko zwiewny, co innemi słowy znaczy przeczuciowy nastrój jest płodnem uchwyceniem jakiegoś poprzedniego wzruszenia. Reymont zakreśla sobie pole widzenia i owija je kilkakrotnemi smugami słów, które po rzeczy widzianej toczą się, pełzną i skaczą, niczego nie przeoczając i nie opuszczając.

Gdyby Reymont chciał widzenie uzupełnić czemś innem, krytyką lub osobistem oświetleniem, maniera jego stałaby się monotonną. Zadowala się umiejętnem widzeniem. Reymont-człowiek w swych książkach nie daje ze siebie nic ponad uczucie obecności szeroko otwartej, niezeszklonej, przeźroczystej źrenicy.

Wykłady jego o życiu i losie człowieka zredukowaćby można do przysłowia: każdy kowalem swego losu. Zresztą interpretacya wszelka ogranicza się do dwóch, trzech postaci z współczesnych powieści Reymonta poza »Chłopami«. Dziesiątki jego postaci przedstawiają się nam jako gotowe fabrykaty losu i o stanowisku pisarza wobec nich nie da się nic powiedzieć. Najwięcej pola do dysputy daje tom »Na krawędzi«.

Dla czytelnika rezultat »Ziemi obiecanej« jest mniej więcej taki: fale morza ludzkiego wznoszą się wyżej i wyżej, a potem tem głębiej się zapadają, zagarniając jednostki, które do typu nagiąć się nie chcą a marzą o przekształceniu epoki. »Ziemia obiecana« tak wygląda na zewnątrz — żądny literackich kazań taką naukę bezpośrednio z niej wyprowadzić może: aczkolwiek kazanie żadnej przekonywującej dyalektyki nie zawiera.

Sposób pisania Reymonta uczynił tę naukę od strony ludzi z »Ziemi obiecanej« dosyć jałową. Dla Borowieckich i różnych innych, rezultatem jest ogołocenie z wszystkich pożądań, wyssanie siły życiowej przez własną ich naturę, która raz jest karą, a raz winą. Po prostu życie stało się grą, w której lekkomyślnie (kara) lub mimowolnie (wina) przetracili wszystkie atuty. »Ziemia obiecana« jest budową zwartą. Nie ma w niej jednostronności pojęcia życia polskich ludzi w Łodzi jako nieodpowiedniej pokuty, jest jednak w gnębieniu ich łódzkiego życia pewna systematyczność. Reymont już wtedy nie uznawał najlżejszej nawet harmonii w życiu. Jeśli było coś podobnego do niej — to skrupulatnie przekonywał nas, że to tylko głuchy dźwięk pękniętego dzwonu (początek »Komedyantki« — Janka jako Grzesikiewiczowa). »Ziemia obiecana« jest utworem wyjątkowym. Narzucić miastu pewnemu cechy odrębnego, wykończonego typu, ukazać w niem świat swoistych klęsk, zawodów i zwycięstw, formułować obowiązki mieszkańców miasta i tylko takiego miasta, było pomysłem ogromnie cennym.

Nie sądzę, jakoby przyznanie Reymontowi zamiłowania w gwarze, huku, wirze i t. p. tłumaczyło jego artystyczne skłonności. Pomiędzy hukiem łódzkich maszyn a hukiem w »Ziemi obiecanej« przestrzeń daleka, tak daleka, że zbliżone do prawdy jej wymierzenie wymagałoby przytoczenia compendium psychologii eksperymentalnej z Reymontem jako objektem. Pisarz »Ziemi obiecanej« wymagał dla siebie poziomu, na którym znikają ścieżki i ścieżyny jednostek a widnokrąg, bez cieni indywidualnych, odsłania ogromny teren, najzdatniejszy do obserwowania całej zbiorowości. Łódź jest u Reymonta formą, która niewolniczo urabia ludzi, tworzy z nich istoty, tak bardzo obciążone dziedzictwem »Ziemi obiecanej«, że nawet poniżenia ich są wynikiem duchowego wysiłku (Borowiecki).

Upadki ich są logicznem, a w stosunkach polskich logicznem przystosowaniem się do warunków, w których żyć im przyszło, a które usprawiedliwiają. Usprawiedliwienia wszystkie opiera Reymont na życiowej ambicyi. I to jest artystycznem pięknem »Ziemi obiecanej«.

Jakiembądź zresztą jest stanowisko autora »Ziemi obiecanej«, sama powieść oznacza doskonałą obojętność w ocenie. Nie można się za to dość nachwalić Reymonta i w tym miejscu jest ostateczne potwierdzenie naszego punktu wyjścia, że powieści jego, to różne pola widzenia, dowolnie ścieśniane i rozszerzane przez tą samą soczewkę. Wskutek tego powieść Reymonta nie przyciemniona niczem w swem artystycznem zewnętrznem wykończeniu nastręcza wielkiej ilości materyału do teoretycznych badań.

Rozciągły styl, wyraźne drogowskazy w treści, pociągłość stosunku do zadań sztuki, władztwo słowa i jako ostatnia instancya twórczości, wszystko składa się na wdzięczny przedmiot do roztrząsań na sposób Brunetièra, Solderna, Alberta Langego. W książkach Reymonta literaturą, jako odłamem sztuki, jako kategoryą estetyczną nic nie zachwiało. Przez to jest kapitalnie różny od wszystkich prawie znaczących w współczesnej umysłowości. Prawowitość formalną sztuki ocala w dodatku nie przez pozostawienie całego zagadnienia na uboczu, lecz przez odrębne, jakby wrodzone przekonanie o bezinteresowności literatury wobec współczesnych. Sztuka i wszystko, co z nią związane, dla konsekwentnych czytelników Reymonta wyradza się w coś, czego ani odmłodzić, ani zabić nie można, co trwa przez swój niedyskutowany fakt istnienia.

Guyau powiedział w »Estetyce«: »wielkie wzruszenia estetyczne są wogóle bardzo zbliżone już to do najsilniejszyeh, najbardziej podstawowych wrażeń życia fizycznego, już to do najwznioślejszych uczuć życia moralnego«.

Reymont jest jednym z najbardziej uzdolnionych i najzupełniej jednostronnych wyrazicieli »podstawowych wrażeń życia fizycznego« w walce z niedostatecznością rozwoju dzisiejszego człowieka.



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 10)

IV.

TWORZENIE.

Pierwszym odruchem Julka, gdy postanowił namalować obraz, było rozpocząć go natychmiast. Ale to miało być duże płótno, pokoik Julka był ciasny, przechodni, wystawiony na oczy rodziny, która tę jego świętość będzie oglądać, badać — może śmiać się z nieudolności artysty. Julek czuł, że dużemu obrazowi nie podoła odrazu — czuł zresztą, że ten obraz będzie tak odrębny od wszystkiego, co dotychczas robił, że na tę myśl jego rozpoczęcia drżenie go ogarniało, przerażała go własna zuchwałość.

Przez kilka dni męczył się niezdecydowany, a tymczasem żarła go wyobraźnia, podniecała, ośmielała, wydobywając zarazem na jaw trudności, o jakich mu się nie śniło.

Przedewszystkiem jak będą ułożone te dwie figury na obrazie? Julek doskonale widział cały ton obrazu, zachwycał się subtelnościami barw w świetle świecy, jakby przypomniał sobie rzeczywistość. Obcował ze swoim bólem bezustannie, wpatrywał się w tę ukochaną umarłą twarz i widział doskonale, jakie odcienia barw miał każdy jej rys, każda część pogrążona w cieniu. I wtedy spostrzegał, że widzi ją właściwie całą w świetle, tak jakby świeca stała od niej blizko — widzi ją pół profilem, „en trois cares“, a świeca gdzieś od niej na lewo, wypadłaby mu prawie pod ręką, gdyby stał przed obrazem, zasłaniałaby tę postać, co ku umarłej się zbliża z różami.

Więc, gdzie postawi świecę? Za umarłą? To znowu jej twarz byłaby za mało oświetlona.

To może niech będzie świeca na lewo, a o n z prawej niech stoi? Nie, niemożliwe. On widział g o wyraźnie z lewej, ach tak, o n patrzył w jej oczy niedomknięte, w których lśnią szklane iskierki — a o n obłąkany z bólu myśli wtedy, że ona może śpi tylko.

Nagle rozwiązał trudności.

Na obrazie nie będzie świecy, tylko jej światło z lewej strony. Wtedy widać będzie umarłą i j e g o — tak, jak to widział w wyobraźni. Ona w pełnem świetle, o n tylko cokolwiek dalej — z lewej. Umarła leży nieco ukosem, widać znacznie więcej, niż jej profil. Tak jakbyśmy się zbliżali do trumny i stanęli dalej, niż przy nogach i patrzeli w tę twarz z góry. Świeca tuż koło nas — widać jej najostrzejsze odblaski na białej sukni i różach rozrzuconych, dalej już słabsze na odsłoniętej szyi i znów silne na twarzy, bo twarz oparta na poduszce i przez to zwrócona ku świecy prawie prostopadle.

Gdy rozwiązał tę sprawę, wpatrywał się wyobraźnią w swój obraz coraz silniej — i coraz bardziej, bardziej rozumiał, że patrzy na coś mu znanego już oddawna, na coś, z czem się zżył, co go wprawiało w ekstazę zachwytu i boleści. A jednak te dwie postacie żyły w nim jakiemś życiem przepięknem, nieznanem mu dotychczas — żyły mu barwami, pochyleniami, przegięciami, żyły drgającą, płynącą razem w niewidzialnym splocie całością, a on żył wewnątrz nich obojga — i w niej i w n i m i w tej trumnie czarnej i w różach i atłasie świecą oświetlonym i w świetle tem groźnem, pięknem i w głębinach tła całej tej sceny przebolesnej — ach żył i w oczach jej niedomkniętych, jakby pośmiertnemi łzami napełnionych i w jego uśmiechu obłąkanym i w j e g o łzach, w j e g o pochyleniu, w jej martwocie — a kiedy uświadamiał sobie to zespolenie swoje z tą rzeczywistością wyobraźni swojej, odczuwał z przerażeniem cały bezmiar życia w tem zawartego — bezmiar trudności. Na razie widział jakby jedną masę barw jasnych i gorących, smętkiem w nierówne czarne ramy trumny ujętych — w dole obrazu — nad tem j e g o bolesna, ekstatyczna, żółtawa twarz, czerń ubrania silnem światłem złagodzona i straszne żółtawe ręce kwiaty rzucające — a dalej — ginące w mroku blaski świecy w powietrzu — wszystko skąpane w tem oświetlonem, gęstem jakiemś powietrzu — w tej duszącej atmosferze nieszczęścia — co dławi, oddech zapiera.

I jemu też brakło oddechu i pot mu występował na czoło i strach go ogarniał, kiedy myślał o tem — a jednocześnie dziki zachwyt lodowatemi strugami mu błądził po ciele, zachwyt nad tą rozpaczą, nad tem przerażeniem tak pięknem, tak cudownie, barwnie groźnem — tak płomienistem i nieodwołalnie się srożącem — tam w nim — w duszy — w sercu — a wnet już przed nim, na zawsze dokonanem...

Potem dopiero rozróżniać zaczął kształty postaci umarłej, jej rysy, jej ubiór — i wszystko to jednak nie usuwało pewnego omdlenia barw umarłej, które były niby złociste i krwawe, ognie jesieni oplątane babiem latem i szaro błękitnawą oponą dżdżystego powietrza, lśniącego w łagodnych, ukośnych promieniach słońca. Było to coś z pożaru widzianego w oddali w pogodny, jasny dzień i coś z rumieńców dziewicy za jasną wualką — i coś ze lśnienia klejnotów w złotych oprawach, w jasnem świetle za niemytą szybą — i tem straszliwiej odcinała się od tej harmonii czerń trumny i brutalna żółtość jego rąk i męczeńskie obłąkanie uśmiechniętej twarzy — chociaż i ta brutalność była jakby zaledwie znaczną mgłą, która odbierała tym dłoniom twardą plastyczność, czyniła je niepodobnemi do wszelkich innych kiedykolwiek widzianych.

Wszystko to Julek widział w sobie — czuł jak drgało w nim, jęczało, płakało, śmiało się obłędnie i mieniło się rozkosznym, odurzająco pięknym snem — Julka paliła tęsknota — namiętna żądza do tej wizyi — całe dnie i noce, to mu lśniło w duszy i wyciskało łzy zachwytu i boleści. Ujrzeć to — stworzyć to — i umrzeć O tak umrzeć, bo czy on przeżyje stworzenie tego.

Lecz skoro zasiadał przed stalugami, kupiwszy sobie nareszcie płótno i wielką ilość farb za sprzedanych kilka karykatur, ogarniało go

drżenie, słabł, ręka odmawiała mu posłuszeństwa — nie śmiał rozpoczynać. Wstawał śmiertelnie blady, rzucał się na łóżko i z tęsknotą i trwogą patrzał na białe płótno, na którem miała powstać ta wizya piękna i groźna, jak opowieści Poego, lub rysunki Goyi.

Wiedział już, jak to zrobi — każdy refleks, każdą plamę barwną (zapewne zdawało mu się) już na płótnie w wyobraźni umieścił — tylko zacząć — śmiało — raźno.

Zrywał się — i znowu nie śmiał rozpoczynać.

Jakto? tak odrazu? — Taki bezmiar odrazu walić na płótno? Ha — ha, ha — naiwny chłopcze, szeptał sobie — i znów przeżywał piekielne męki tęsknoty do swego dzieła, jęcząc i zwijając się na łóżku.

Sechł i chudł, oczy błyszczały mu gorączkowym ogniem, był blady, tylko wypieki miał nieraz na twarzy, jak suchotnik. Jadł byle co, nie wiedział nawet kiedy. Nie widział rodziny, która obrzucała go trwożnemi spojrzeniami, a na ich pytania odpowiadał opryskliwie i sucho, że nic mu nie jest. Zapamiętał się — płonął suchym ogniem i ogarniała go nuda straszliwa i tępa senność, aż wreszcie pewnego wieczora, kiedy wszyscy już spali, uczuł tak straszny niepokój, jakby był blizkim obłędu. Dusza wydzierała się z niego, jak spieniona rzeka, co wiosenne wody swoje przelewa przez brzegi i niesie je w dal do nieznanego morza. Chciał iść gdzieś, ale natychmiast nuda zabójcza obezwładniała go. Chodził po pokoju, wstawał, siadał, próbował czytać — nic nie pomagało. Chciało mu się wyć jak psu, oczy go piekły, głowa ciężyła, serce wydłużało się w piersi i chwilami przestawało bić. Nie pojmował, co mu się stało, żaden napój nie byłby w stanie zaspokoić jego pragnienia. Ze wstrętem myślał o wodzie, o herbacie, kawie czarnej, myśl mocnych trunków nasuwała wprost mękę obrzydzenia. Palił papierosy, ale i te go piekły tylko i napełniały niesmakiem.

Siadł wreszcie przy stole, chcąc się zmusić do czytania. Szła od książek rozpaczliwa czczość. Każdą myśl przenikał i rozwijał dalej niż autor, wszystko wydało mu się bezdennie głupie.

Wziął do ręki album swoich rysunków. Boże, cóż to za nędzne bazgroty. Rumieńce wstydu buchnęły mu na twarz.

Cóż to za powierzchowny rysunek. Trochę obserwacyi, rozmachu, życia, charakteru — i razem nic. Jakie puste postacie. Nic w nich niema ciekawego. Żadnego wysiłku twórczego w robocie. Po co to robione? Ilustracyjki do powieści, czy co? Zaledwie gdzieniegdzie coś — jak przeczucia prawdziwej siły.

Cisnął zeszytem z wściekłością.

I on by miał odtworzyć tę śmierć, tę miłość, ten krzyk rozpaczy „za późno“, to kwieciste i groźne piękno, to duszące nieszczęście, te ręce biedne i straszne, bardziej trupio żółte, niż trup przed niemi leżący, te ręce zbolałe, wychudłe jak szpony, rzucające róże, niby kwiaty płomieni, niby krwawe, potworne łzy? Chwycił się za głowę w ostatecznej rozpaczy, a równocześnie wstawała w nim żywiołowa, nieodparta tęsknota. Sprobuję! I dławiła go ta żądza i bolała w sercu, oplątywała całą istotę jak żelaznymi prętami, co wdrążały się w ciało, jak na torturach. Drżał, chłódł, bladość ogarniała mu twarz, szyję, piersi, choć tam na dnie ogień ukryty w sercu — w kuli maleńkiej, rozpalonej do biała.

Z zaciśniętymi zębami, w męce, podniósł powoli swój zeszyt rysunków. Pomimo całego naporu żądzy tworzenia trzymał się całą siłą tej myśli, że jeszcze malować to jest zawcześnie. Roztworzył zeszyt, który był dość dużego formatu, znalazł pustą stronicę, wydobył ołówek i bez namysłu, z błyskawiczną szybkością zaczął rysować. Zdawało mu się, jakby to już było narysowane, on zaś nadaje tylko barwy w światłocieniach, jednocześnie dawał kształtom kontury tak dla niego samego niespodziewane, że w chwilach nagłych zastanowień — coś jakby w „lucida intervalla“ u warjatów — mruczał ze zdumieniem: „co ja robię?.

Ale nie przerywał. To „szkic“! wołał do siebie, przypuszczając, że bądź co bądź popełnia tu jakby nieuczciwość, aż go krew zalewała ze wstydu. Jednocześnie zaś czuł, że to było coś innego, czego się nie potrzebował wcale wstydzić, jakieś nieznane mu dotychczas upojenie.

Zresztą rysował coraz wolniej, z coraz większą namiętnością i skupieniem. Usuwał momentalnie pierwszą, nieraz wprost karykaturalną przesadę wyrazu, a gdy widział, że wreszcie obraz wyłania się z mroków, uczuł nawet wesołość, bezwiedny tryumf — i rysował teraz lekko, ledwie znacznemi dotknięciami ołówka wydobywał światła, zaznaczał szczegóły kształtów, pogłębiał rozsiane za dwoma postaciami mroki — igrał z trudnościami, których nigdy jeszcze nie pokonywał i nagle prawie instynktownie przerwał pracę.

Zrozumiał, że zaczyna coś psuć.

Odłożył zeszyt i rzucił się na łóżko. Miał twarz wykrzywioną bólem, w oczach łzy, w duszy płomienie i szczęście. Głowa chłodła. Uśmiechał się bezwiednie. Ogarniało go zmęczenie i senność.

Rzucił okiem przelotnie na zeszyt, w jednej chwili znalazł mnóstwo błędów, których nie tknął, ujrzał jednocześnie, że to mu żyje, narysowane jak nigdy jeszcze nie rysował, uśmiechnął się znowu, zgasił lampę i nawpół rozebrany rzucił się na łóżko.

Zasnął jak kamień.

* * *

Na drugi dzień spojrzawszy na swój rysunek, w pierwszej chwili przeraził się i ogarnął go wstyd tak straszny, że aż zaćmiło mu się w oczach. Z wyciem i przekleństwami chciał to podrzeć. Ale gdy chwycił kartę, coś mu przeszkodziło. Czy to karta była dziwnie mocna, że się odrazu nie oddarła, czy też poprostu chciał się jeszcze pożegnać ze swojem „waryactwem“, spojrzał raz jeszcze — i nagle powstała mu przed oczyma ta sama wizya, którą ścigał wczoraj, gdy tworzył.

Powstał i zamyślił się głęboko.

Potem, jak był, w koszuli, boso, próbował poprawiać to mnóstwo błędów. Ale gdy jedne poprawił, zjawiały się nowe — i nagle zawołał zdumiony.

— Cóż u dyabła, tyle błędów, a nic nie można poprawić, bo się wszystko psu e.

Po namyśle poprawił z kolei swoje poprawki, pozostawiając błędy jak były. Całość znowu za-

drgała życiem, barwą i blaskiem — postacie jednoczyły się ze sobą w jakichś płynnych, muzycznych liniach, był w tem ból, groza i piękno.

Patrzał w to, jak zahypnotyzowany i powoli zaczynał rozumieć, co było naprawdę błędem, wykroczeniem przeciw budowie przedstawianego kształtu, co zaś tylko siłą wyrazu, światła, nastroju — nieraz przesadną — i dlaczego była przesadną.

To go uradowało tak dalece, że wieczorem postanowił zrobić drugi szkic. Zarazem złość go ogarniała, że pierwszy raz w życiu rysował coś tak „nieświadomie“, jak waryat. Ale natychmiast pomyślał, że padł ofiarą natchnienia i duma zagłuszyła w nim wszystkie inne myśli. Teraz on to natchnienie opanuje — już je zrozumiał — tylko dalej — do roboty.

Byłby się nawet zabrał do drugiego rysunku, ale zanadto był rozradowany.

Poszedł na śniadanie do jadalni, porwał matkę wpół, zaczął z nią tańczyć, aż się zasapała, z Jasiem zaczął się bić i mocować, przewracając krzesła i wypchnął go poturbowanego do szkoły, a przed siostrą, która wybierała się na lekcye, padł na kolana, śpiewając dyszkantem aryę z Aidy i przewracając oczy.

Matka patrzała nań czas jakiś z niedowierzaniem i strachem. Myślała naprawdę, że zwaryował. On zaś widząc to, wpadł w jeszcze lepszy humor i śmiał się jak szalony.

— Co ci się stało? zapytała wreszcie Wandzia.

— Ach, żebyś ty wiedziała, co ja narysowałem, wyrwało się jakoś Julkowi samo przez się.

— Pokaż! — pokaż! zawołała matka i Wandzia razem.

— A dobrze. Chodźcie!

I skoczył do siebie.

Ale zanim doszedł, nagle przypomniało mu się swoje własne wrażenie; kiedy obudziwszy się, spojrzał na obraz. Przytem uczuł wstyd, że t a k ą rzecz chce im odrazu pokazywać, więc zawrócił raptownie, chwycił matkę i Wandzię pod ręce i prowadząc je napowrót do jadalni, rzekł zupełnie innym tonem.

— Nie. Nie pokażę.

— Dlaczego? zapytano chórem, starając się gwałtem go zawrócić.

— Nie, nie mogę. Zastanowiłem się. Pokażę, kiedy będzie skończone.

Matka i Wandzia wydzierały się, wreszcie Wandzia pobiegła do jego pokoju, on za nią, wyścignął ją, schwycił zeszyt, rzucił w szufladę i zamknął ją na klucz. Aż zbladł na myśl, że Wandzia to zobaczy i powie jak zwykle jakiś dowcip.

Wandzia obraziła się i wyszła na lekcye. Jemu zaś odrazu wrócił niepokój i nieokreślony smutek. Siadł do herbaty i nie słuchał prawie zapytań i gderania matki.

Ale kiedy po śniadaniu kładł kapelusz, matka podeszła ku niemu z dobrym, chytrym uśmieszkiem na swej obrzękłej, pomarszczonej twarzy, mignęła oczami porozumiewawczo i rzekła prawie zalotnie.

— Chodź teraz do siebie! Prędko! Nikomu nie powiem.

Julek udał, że nie rozumie.

— Matce przecież pokarzesz...

Objęła go i uścisnęła.

Julek ucałował ją z rozrzewnieniem.

— Nie mamo, nie mogę — odpowiedział smutnie, ale stanowczo.

Przeprosił ją i wyszedł.

Jakiś czas ścigała go jeszcze nieokreślona melancholia, ale potem, za miastem, w zapachu pól, gdy rozgorzała w nim krew słońcem pieszczona, rysunek podsunął mu się przed oczy z zadziwiającą wyrazistością i był taki piękny — stokroć piękniejszy, niż w rzeczywistości. Duma uderzyła mu do głowy, widział się wielkim, sława stała u wrót — tylko chwycić. Rozmarzał się, miał nadzieję, że olśni, porwie tem dziełem Jadzię, a ona wielkiemu artyście rzuci się w objęcia.

Ale myślał już o niej bez tego bólu co dawniej. Była mu jakaś dalsza, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Jakby nie pamiętał naprzykład wcale o tym narzeczonym. Widział ją jak słodką, prawie niemateryalną wizyę — prawie radosną, za mgłą cichej melancholii, a jednocześnie tryumfu. (C. d. n.)



JÓZEF JEDLICZ.

POLNE RÓŻE.

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone, rozlane w bieli świtu przeźroczystej... Widma dalekich brzóz, jak białe listy, wysłane do nas z nieba od aniołów, o treści świetlnej, tęsknej, promienistej — lecą mieniące z dali sinych bram, lecą przez kwiecie i łąki zielone, siejąc tęsknicy czarodziejski kłam...

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone, w onej świetlistej ciszy białych plam, wśród rośnej trawy pagórka, u krzyża, rannym powiewom pło-

niąc się i drżąc... A wieczność w dalach mknie, jak myśli, chyża i niesie w światy tysiąc snów i żądz...

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone, rozlane w zieleń pagórka, u krzyża, u Chrystusowych pokrwawionych stóp: wiecznie wpatrzone w cierniową koronę, wiecznie wmyślone w krwawy zgon i grób. A wiatr wśród kwiecia nucił dziwne baśnie o tym Bezsennym, co nigdy nie zaśnie...

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone.

Raz pomnim, letnim świtem z dali mglistych kroczy ubogi żebrak środkiem pól. Z klątwą tęsknicy w oczach płomienistych — kroczy ugorem, jak samotny ból — — I tu, na wzgórze, zwolna się przybliża i staje niemy: duch wśród pustych pól... I do Chrystusa wzniósł błagalne ręce i padł gorącą skronią tu, u krzyża; przylgnął do kwiecia usty spragnionemi i płakał — — — W ducha niewysłownej męce tu leżał, chłonąc kwiatów ciszę chłodną, i pił tę wonność, która z kwiatów ciekła: bo nie mógł z serca wygnać tej boleści, co drgała w sercu jego żarem piekła...

I długo, długo leżał tu na ziemi — aż, chłonąc wonie swoją piersią głodną, usłyszał w szumie wieść niewiarogodną — — i pojął treść i grozę onej wieści i pojął cud wieczysty niemej treści i wielkość ciszy, która go urzekła.

— — Poszedł — —

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone.

Po wielu latach wrócił — — odmłodzony. Na twarzy Jego zorza i rumieniec... A oko, niby srebrny świt zmrożony — a w dłoniach piorun miał i świetlny wieniec...

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone...

I stał pod krzyżem mocarz i młodzieniec... I zdjął z Chrystusa cierniową koronę — zdjął i uwieńczył Go w świetlany wieniec — i stał w zieleni piękny jako kwiat — —

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone...

I, wziąwszy na skroń cierniową koronę, poszedł weselny znów w dalek świat: głosząc oddalom słowo dziwnej treści, słowo, co prawdzie cały świat otwiera, które, kto pojął raz, ten nie umiera — słowo, co światy wydźwiga z boleści...

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone...

. . . .

Po latach przyszedł znowu tu, w ten szum — Przywiódł Go zły, okrutny ludzki tłum — Klątwy przygnały Go i złość i wrzask.. Blady był niby duch, a w oczach blask niemych, bezmownych gwiazd się żarzy.

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone.

Zdjęli Chrystusa z krzyża, odziali w bisior i purpurę i ponieśli Go na złoty tron ołtarzy, gdzie ludzka czerń pokorą mu ubliża — —

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone.

Na krzyż przybili swą ofiarę; w zmierzchu przebodli krwawo Jego bok... W mroki zapomnień strojąc Go ponure i szydząc, milkli w zmierzchu, cienie szare, bez śladu w czarny roztopione zmrok...

Lśniłyśmy wtedy, jako łzy czerwone.

I On tu wisi, jak samotny ból, wśród łąk zamglonych i bezkreśnych pól... Na czarnem, mchami wilgnem drzewie krzyża, przed jasną Zorzą martwą skroń poniża; — — Nie dotrze tutaj grzech, ni ludzki wrzask, jeno Go świty w srebrny wieńczą brzask — — I wisi niemy, jak rozpaczy król — tu, w trumnie ziela, kwiatami porosłej, żywie jak anioł głusz wyniosły, a my pod krzyżem niby krwawy ból...

Lśniłyśmy niegdyś, jako łzy czerwone...

Lwów.

DR. MICHAŁ JANIK.

OSTATNI SEZON TEATRALNY.

Mieliśmy do niedawna w naszem mieście jeden jedyny teatr polski, który skupiał całą uwagę prasy i społeczeństwa. Przed kilku miesiącami powstał Teatr nowy, dający przedstawienia w całem tego słowa znaczeniu popularne, od dłuższego czasu widzimy ponadto usiłowania innych jeszcze miłośników sceny, uwaga ogólna mimo to zwraca się przedewszystkiem na teatr miejski. On bowiem reprezentuje w pierwszym rzędzie nasze dążenia kulturalne i aspiracye artystyczne, nad nim czuwa opieka miasta i kraju. Jemu też wyłącznie chcemy poświęcić niniejsze sprawozdanie.

Teatr miejski ma swoich nieprzejednanych wielbicieli i przeciwników, skutkiem czego łatwo o nieporozumienie, tem bardziej, że mnóstwo osób, należących do inteligencyi, do teatru prawie nie uczęszcza, usuwa się zatem od możności zdobycia własnego sądu i zachowuje się łatwowiernie wobec prasy, która na nieszczęście w sprawie teatru ma przeważnie ciężkie grzechy na sumieniu. Krytyka czy pochwała jest tedy rzeczą niebezpieczną, bo naraża sąd wydającego na wyrok zaoczny ludzi, którzy jako rzadcy goście teatralni sprawy nie znają, niemniej przeto w dyskusyi teatralnej wykazują sporo animozyi i uprzedzenia, nieodłączne wady każdej nieświadomości. Prasa zaś odnosi się do krytyka zależnie od tego, do jakiego należy obozu politycznego, zostawiając na boku słuszne czy niesłuszne poglądy i zapatrywania. Pomimo tego ośmielamy się na wypowiedzenie naszej opinii w sposób ściśle przedmiotowy.

Powiedzieliśmy, że bardzo wiele osób z inteligencyi do teatru nie uczęszcza, co nie stoi w żadnej sprzeczności z faktem, że — ogólnie biorąc — widownia jest przeważnie stale wysprzedana. Znaczy to tylko, że poza publicznością premierową i przygodną mało jest u nas stałych amatorów teatru. Wydaje mi się, że główną tego winą jest nienależyty dobór sztuk, w teatrze podawanych. Inaczej nie umiem sobie wytłumaczyć objawu, tak bardzo charakterystycznego dla wielkiej części naszej inteligenckiej publiczności, objawu — nawiasem mówiąc — w pewnych warunkach niepochlebnego. Jeżeli słabe uczęszczanie przypiszemy nienależytemu doborowi sztuk, rzecz

staje się zrozumialszą i nabiera potrzebnego oświetlenia. Wtedy także stanie się zrozumiałem, że sztuki dobre zapełniają widownię publicznością inteligentną, że taki n. p. Wielki Fryderyk Nowaczyńskiego cieszył się frekwencyą tej samej często publiczności, która interesowała się nie tylko sztuką, ale zarazem grą głównego bohatera, obejmowaną kolejno przez panów: Chmielińskiego, Kamińskiego i Solskiego, co mogłoby świadczyć o dużem wyrobieniu artystycznem tejże publiczności. Wtedy również z przyjemnością zanotujemy fakt, że cykl przedstawień Fredrowskich należycie był uczęszczany, że Peer Gynt zdobył słusznie dob ą sławę, że nareszcie Noc listopadowa weszła w stały repertuar naszej sceny.

Jak tedy przedstawia się dobór sztuk w ostatnim sezonie? W porównaniu z tem, na co patrzyliśmy przez dwa lata poprzednie, uległ on bezwarunkowej zmianie na lepsze. Przypuszczać trzeba, że stan korzystniejszy spowodowała miejska komisya teatralna, która w tym okresie spełniała swoje obowiązki w sposób szczerze obywatelski i słuszne swoje wymagania stale podtrzymywała wobec dyrektora teatru. Rzecz oczywista, że nie można tworzyć naraz doskonałości, że zatem w teatrze pozostało wiele luk i niedostatków, które przy raz zaczętej reformie będą kolejno naprawiane i usuwane. Z drugiej strony zaniechanie reform popchnie teatr do upadku, jaki się widziało przed trzema i dwoma laty, a z którym przez dłuższy czas borykała się bezskutecznie komisya teatralna, narażając się nawet na przykrości osobiste.

Za wielkie plus należy uważać wprowadzenie na nasze deski Nocy listopadowej i Wielkiego Fryderyka, pozatem wystawienie nowalii Zapolskiej, Żuławskiego i Jaroszyńskiego. Cykl Fredrowski, mile powitany przez publiczność, wykazał naocznie, że dobra scena może korzystać wybornie z dobrego zasobu dawniejszego. Przeprowadzenie przez scenę należytego wyboru dawniejszych sztuk narodowych mogłoby być na przyszłość niezmiernie pouczającem dla publiczności, zyskownem dla przedsiębiorstwa, pięknem wypełnieniem obowiązku ze strony sceny narodowej. Możnaby zacząć od Sarmatyzmu Zabłockiego, Powrotu posła Niemcewicza, Spazmów modnych Bogusławskiego i w szeregu kilkunastu przedstawień dać obraz rozwoju sztuki polskiej w sposób najbardziej zajmujący. Trzeba mieć tylko zaufanie do repertuaru narodowego, przypominać, co najlepsze w przeszłości, zaznajamiać z twórczością teraźniejszości. Równolegle należy pielęgnować sztukę klasyczną cudzoziemców oraz śledzić najlepsze objawy obcej dramaturgii nowoczesnej. Dyrektor teatru powinien mieć plan tego rodzaju z początkiem każdego sezonu, a wtedy ustanie narzekanie na nienależyty dobór, scena stołeczna wstąpi na drogę prawdziwego rozwoju. Nie należy się poddawać gustowi gorszej publiczności, szukającej w teatrze wyłącznie senzacyi lub podrażnienia zmysłowego, trzeba wychowywać miłośników teatru, bo wtedy zdobywa się stałą publiczność, a równocześnie spełnia się wielkie zadanie wychowawcze.

Jeżeli zauważyliśmy, że ogromny błąd obecnej dyrekcyi, nienależyty wybór sztuk, uległ w ostatnim sezonie zupełnie poważnej zmianie na lepsze, nie można tego w równym stopniu powiedzieć o innej kwestyi, która do tej pory i przez Radę miasta i przez dyrektora teatru fałszywie jest stawiana. Chodzi o to, czy teatr ma być przedsiębiorstwem artystycznem czy finansowem i której stronie należy dać przewagę. Zasadniczo teatr powinien być wyłącznie świątynią sztuki, wielką szkołą narodową. Tak dzieje się w wielu miastach na Zachodzie, gdzie jednakże teatr znajduje się całkowicie w zarządzie publicznym. Z chwilą wszakże, gdy teatr oddaje się w ręce dzierżawcy, pojawia się nieuniknienie kwestya przedsiębiorstwa finansowego. W tym wypadku pilnie baczyć należy, ażeby interes finansowy nie wygórował nad artystycznym, ażeby oba szły co najmniej równolegle. Tej strony kwestyi nawet w Radzie miasta nie chciano rozumieć, stawiano ją niestety na opak, a postawienie jedynie racyonalnej zasady uważano za niechęć osobistą do dyrektora teatru. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe!

Gra artystów i przygotowania zespołów w ostatnim sezonie wiele zostawiały do życzenia. Nie wina tutaj artystów samych, między którymi jest kilka niepoślednich talentów, ale wina pospiechu i brak dobrego kierownictwa artystycznego. Sztuki przeznaczano z góry na dwa lub trzy przedstawienia, stąd brakowało pietyzmu w przygotowaniu, stąd niepodobne nieraz wysiłki ze strony aktorów. Odczuwalo się to szczególnie w sezonie gościnnym, kiedy sztuka ścigała sztukę, a aktor musiał zapomnieć o artyzmie i zamieniał się z konieczności w udręczoną ofiarę. Takie forsowanie sztuk i linoskokowe łamańce pochodziły z chęci zysku i mściły się na sztuce w sposób najokropniejszy. Dlatego musi się żądać od dyrektora, ażeby zyski wydobywał innymi środkami, w pierwszym rzędzie pieczołowitem przygotowaniem zespołu, które przy należytym równocześnie wyborze sztuki zapełni widownię przez kilkanaście przedstawień, wyjdzie na dobre sztuce, artystom, publiczności i kasie teatralnej. Zasadę taką należy stanowczo podtrzymywać, w myśl choćby owej maksymy łacińskiej: non multa sed multum.

Wskutek nadmiernego pospiechu i licytowania wznowień i nowości cierpiała bardzo często dykcya języka ojczystego. Język artystów powinien być nieskażenie czystym i działać kształcąco na publiczność, która w naszem mieście nawet wśród osób społecznie najwybitniejszych wykazuje najkarygodniejsze naleciałości gwarowe. Gdzie aktor musi się trzymać budki suflera, tam nie ma czasu myśleć o należytej dykcyi, tam grzechy przeciw językowi muszą być częste. Rzecz szczególna, że haniebną tę wadę spotyka się przeważnie u artystów młodszych, co nakazywałoby pomyśleć o najszybszem założeniu dobrej szkoły dramatycznej. W związku z dykcyą stoi mimika, niepodobna tam, gdzie nie zna się roli, gdzie zatem gest nie towarzyszy słowom, lecz następuje po nich w sposób najbardziej nieprzyjemny. Z powodu braku przygotowania sceny salonowe wypadają u nas częstokrotnie okropnie, młodzi lordowie i lwy salonowe przypominają bardziej redutę podmiejską, niż salon z dobrem towarzystwem.

Przedstawienia popołudniowe, obliczone na młodzież, traktowane były opieszale. Pomijam

niewłaściwe często sztuki, dawane w tej porze, gdy chciałoby się, ażeby podawano same arcydzieła i najlepsze sztuki patryotyczne, ale w każdym razie musi się żądać, ażeby przedstawienia popołudniowe nie stały pod względem artystycznym niżej od wieczornych. Utarł się niestety inny obyczaj, który konsekwentnie należy wytykać, ażeby doprowadzić do koniecznej poprawy.

Jest więc niemało błędów w teatrze miejskim, jest dużo do poprawienia. W ostatnim sezonie postęp na lepsze był widoczny, czynniki powołane powinny zatem czuwać, ażeby postęp nie ustał, ażeby scena nasza stała się naprawdę stołeczną. Dopóki dramat będzie żył w symbiozie z operą i operetką, o doskonałości zupełnej myśleć nie wolno, ale wolno dążyć do coraz wyższego rozwoju. Przypuszczam, że nastąpiłoby wszystko raźniej, gdyby się udało zapewnić dramatowi zupełną autonomię, nie naruszając zresztą w niczem praw i korzyści wspólnej dyrekcyi. Samodzielny kierownik dramatu, uposażony należycie finansowo przez dyrektora, miałby przed sobą wdzięczne pole do popisu. Dotychczasowe próby zawiodły z różnych powodów, z czego jednak nie wynika, ażeby myśl sama przestała być dobrą. Dyrektor mógłby się wtedy pilniej zająć operą i operetką, które w ostatnim sezonie wykazywały poziom bardzo niewysoki.

Jest jeszcze jedna ogromnie doniosła kwestya, którą w dyskusyi teatralnej należałoby wziąć pod uwagę. Myślę o ideowym kierunku prowadzenia sceny. Z desek teatralnych powinna do nas przemawiać najczystsza myśl narodowa i humanitarno-społeczna. Można ją podawać zarówno za pośrednictwem dramatu, jak i komedyi. Możnaby przysłonić oczy na niejedną usterkę zewnętrzną, gdyby pod tym względem teatr był dobrą szkołą narodową. Nie znaczy to, że w teatrze ma być dawany taki a taki procent sztuk swojskich, a jakiś inny sztuk obcych. Chodzi bowiem o to, jakiej wartości moralnej są te sztuki. W tem rozumieniu mądra sztuka obca może bardziej kształcić narodowo i humanitarnie, niż głupia sztuka swojska. Chodzi dalej o to, ażeby teatr stawał się podnietą dla twórczości swojskiej przez pokazywanie najlepszych utworów obcych, przez popieranie młodszych autorów narodowych. Jak na dzisiaj, są to niestety rojenia tylko miłośników sztuki narodowej, którzy widząc piękne obrazy oczami duszy, widząc niejeden z tych obrazów urzeczywistniony w sztuce zachodniej Europy, pragnęliby (może za gorąco!), ażeby i teatr polski i sztuka polska dramatyczna zdobyły jak najprędzej owe upragnione wyżyny.

Lwów, w lipcu.

W. PŁOMIEŃCZYK.

W SPRAWIE „OBRONY KRESÓW WSCHODNICH.

Wschodnia Galicya, w szczególności ta »mniejszość polska« w niej rozsiana, jest terenem pracy, który postępowcy polscy skłonni są przemilczać — a w rezultacie milcząc zdawać na żywioły wsteczne i nacyonalistyczne. Na owe półtora miliona Polaków w Galicyi wschodniej składa się, oprócz większych miast, ludność włościańska i małomieszczańska narodowości polskiej i liczne rzesze żydowstwa siłą bezwładności, a raczej z oportunistycznych względów wpisujące przy konskrypcyi polski »język towarzyski«. Otóż poza mury tych miast postęp polski prawie nie wychodzi. Żydów pozostawia się asymilacyjnej partyi Koliszera, Golda, Raucha i Sterna, która wśród mas żydowskich żadnej nie posiada popularności, a której wpływy polegają na więzach interesów materyalnych, które oplątują wiecznie w wątpliwym stosunku do ustawy przemysłowej pozostającego drobnego kramikarza i rzemieślnika; drobnomieszczan i chłopów wydaje się na łup endeckiej agitacyi, i. co najwyżej teoretycznie krytykuje się polityczną stronę ich pracy w stosunku do sprawy ruskiej.

Organy pracy kulturalnej we wschodniej Galicyi, Tow. Szkoły Ludowej, Sokół, zakładane obecnie drużyny bartoszowe itp. już z góry uważa się za obsadzone przez endeków, a przeto wszelki stosunek do nich postępowca a priori określony jest co najmniej obojętnie i ironicznie. Wszelkie pisma ludowe, jakie na wschodzie są rozpowszechniane wśród mas, to pisma klerykalne, umacniające u chłopów rzymsko-katolicyzm, ostoję ich polskości, lub endeckie »Ojczyzny«, »Dzwony« (organ drużyn bartoszowych) itd.; ani »Przyjaciel Ludu«, ani »Gazeta ludowa« nie starają się, jak świadczy o tem codzienne doświadczenie, o teren zbytu na wschodzie.

Nieobliczalne szkody narodowe przynosi taki stan rzeczy. Praca narodowa, zdana na żywioły nacyonalistyczne i konserwatywno-klerykalne, formułuje się w sposób zupełnie swoisty, jako obrona »kresów wschodnich«, czyli obrona dworków szlacheckich w ich społecznym antogoniźmie z ruskim chłopem, oraz stworzenie podstawy dla posad urzędniczych dla Polaków wobec naporu wzrastającej inteligencyi ruskiej. Tu jest rzeczywista platforma dla konsolidacyi »narodowej« podolaków i wszechpolaków, jak i nimbem świętości przez nich otoczonej idei »solidarności narodowej« przeciw Rusinom, w obec której zaniknąć powinny różnice przekonaniowe ba, nawet i społeczne. I jakżeż na takim gruncie ideowym może rozwinąć się jakakolwiek owocna praca kulturalna. W najlepszym razie pomija się wszystkie sprawy naprawdę dla tej ludności żywotne, nakazuje się jej mówić po polsku — co w obec tego staje się propagandą częstej formalistyki, po czytelniach TSL. daje się do czytania książki polskie, których treść w praktyce jest rzeczą przypadkową i drugorzędną, główną rzeczą jest to, że książka jest polska. Jedyną treścią, jaką się w polskość wlewa to historya, traktowana w duchu klerykalnym, o Mieszku, który chrześcijaństwo zaprowadził, o Grunwaldzie (święty Wojciech na niebie nad wojskiem), o obronie Częstochowy itd. Nawet opowiadania z dziejów porozbiorowych pisane dla ludu przez taką n. p. Jadwigę z Łobzowa (we wszystkich czytelniach TSL. tego pełno) z reguły podlane są sosem religijnym obrony wiary przed szyzmatykami i lutrami. Motywacya tego jest na wskroś oportunistyczna, jeśli nie obłudna, że tą drogą do ludu najłatwiej trafić można. Poza jedyną realną zasługą TSL., zakładaniem prywatnych szkółek polskich, jedną rzecz robi się jesz-

cze dla utrzymania polskości ludu na wschodzie, funduje się kościoły i kaplice łacińskie.

Walnym czynnikiem utrzymującym ten czysto formalny, pozbawiony wszelkiej treści sposób stawiania polskości we wschodniej Galicyi, jest system dwumandatowych okręgów wyborczych.

Lud ruski ma do wyboru kandydatów różnych partyi i przekonań: staje nacyonalny demokrata, staje radykał i socyalista, staje moskalofil tego czy owego kierunku, każde wybory są wobec tego postępem w uświadomieniu politycznem ludu ruskiego; polska ludność ma jednego kandydata, postawionego przez radę narodową, bo w razie rozbicia głosów grozi utrata mandatu. Macie głosować na tego kandydata, bo to Polak — mówi się na zgromadzeniach wyborczych — to, że jest on tych, czy innych przekonań, to do nas nie należy, bo rada narodowa, do której wchodzą przedstawiciele różnych stronnictw, dobrze już się zastanowiła i dysputowała, zanim wyznaczyła nam kandydata. I w ten sposób całe życie polityczne, rozważanie programów i zagadnień bieżących odbiera się tym ludziom i przerzuca gdzieś poza sferę ich działania, do jakiejś mitycznej dla nich rady narodowej.

Człowiek pracujący, człowiek bezpośrednio oglądający rezultaty swoich obmyślań i swoich wysiłków, musi mieć treść podawanych mu ideałów i słów bezpośrednio i namacalnie daną. Stąd też z reguły dostrzega lud bardzo trafnie jądro tego czysto formalistycznie podawanego patryotyzmu, jako formowanie podpory i sprzymierzeńca dworu i panów z miasta, jedyną bowiem ogólniejszą sprawą społeczną, jaką bezpośrednio i chłop i szlachta odczuwa, jest społeczno gospodarczy stosunek dworu i chaty. Szlachcie, o ile zajmuje się sprawami swojej wsi i powiatu, drży ciągle przed niebezpieczeństwem ruskiem, przedstawiając je sobie zawsze w postaci strejków rolnych, chłop widząc tego pana do niego zbliżającego się z frazesem, czy to bezpośrednio, czy częściej za pośrednictwem subwencyi na czytelnię lub szkołę, gazety odstąpionej po przeczytaniu, czy fundacyi kaplicy, czuje się z nim związany milczącem przymierzem; oczekuje od niego tych świadczeń, oczekuje poparcia w różnych sprawach prywatnych, oczekuje protekcyi u zajmującego się TSL. sędziego czy podatnika — a za to uważa się za należącego do partyi dworskiej i pańskiej czy to w razie wyborów, czy w razie strejków i t. d. Każdy, kto się na tym gruncie stykał z ludem wschodnio-galicyjskim, zna z jednej strony te przypochlebne słowa pod adresem dworu, że pan hrabia czy szambelan silniejszy od Rusinów, zna też z drugiej strony tę nieufność i jakby chytrą domyślność przy słuchaniu przemów o patryotyzmie, ojczyźnie i języku polskim. Mutatis mutandis ten stosunek wzajemnego kontraktu stosuje się do inteligencyi urzędniczej, która ową pracę oświatową, subwencyonowaną przez dwór, głównie prowadzi. Chłop i to także bardzo dobrze rozumie, że jest podstawą, na której wyrastają posady tych panów, urzędnik zaś bardzo łatwo przyznaje się do zasadniczego lekceważenia chłopa (»który jest taki interesowny«), a pracę swą motywuje potrzebą ochrony abstrakcyjnej polskości, której ostoję widzi w swej posadzie.

Chłopi ruscy znaleźli bardzo dosadne określenie dla adherentów wyżej wzmiankowanej partyi dworsko-pańskiej po wsiach, nazywają oni ich »chruniami«. Takich »chruniów« fabrykuje obecna forma pracy kulturalnej na wschodzie. Że tak jest, że nie o Polaków ale o podpory dworu i posady, o antidotum przeciw ukraińskiemu radykalizmowi chodzi, dowodzi tego jawne kokietowanie przez polską inteligencyę na wschodzie innych »chruniów« t. j. moskalofilów, kokietowanie potworne ze względu na jakkolwiekbądź pojętą politykę polską. Przy ostatnich wyborach ścisłych zawarła rada narodowa kompromis z moskalofilami obu odcieni; doświadczenie wypadło pocieszająco, nigdzie głosy polskie na nich nie padły: instynkt ludu wykazał więcej rozumu politycznego, niż dyplomacya wschodnio-galicyjskich imperyalistów.

Taka jest struktura stosunków, na której opiera się obecna praca oświatowo-kulturalna wśród polskiej mniejszości z tej strony Sanu. Wśród postępowców brak w tej mierze szczegółowych oryentacyi, co gorsza, brak oryentacyi w technice i codzienności takiej pracy. Znalazłszy się na prowincyi albo zupełnie od pracy się usuwają, albo wchodzą w gotowe schematy, strzegąc tylko swego postępowego sumienia przez opozycyę na różnych wydziałach od wypadku do wypadku, nie umiejąc sobie poradzić z całokształtem budowy, na wątpliwych fundamentach onej abstrakcyjnej polskości, onej solidarności narodowej i obrony polskości, opartej.

A sam teren pracy nie przedstawia się wcale rozpaczliwie. Materyał ludzki, choć bardzo częstokroć ciemny, uposażony jest w instynktowe jakby zrozumienie rzeczy, jak tego choćby ów przykład z wyborów dowodzi, a tysiące szczegółów potwierdzają. Inteligencya wiejska, nauczycielstwo, drobni urzędnicy pocztowi i t. p. stanowią element przekonaniowo radykalny, lecz oczywiście skutkiem odcięcia od ruchu umysłowego, a nadto skutkiem odosobnienia niezdolny do samodzielnej inicyatywy w szerszym zakresie; sama wreszcie inteligencya, zwłaszcza młodsza, w miasteczkach powiatowych nie jest pozbawiona jednostek o szerszych aspiracyach ideowych.

Nie trzeba tylko z góry wyrzekać się wygodnie tego terenu pracy, bo wiele można i koniecznie trzeba tu zrobić. Tak liczne dziś zastępy młodzieży postępowej w ciągu kilku lat rozejdą się po kraju; niech one mają wytknięte oryentacye swej działalności na tem polu; obok znacznego dziś wyrobienia ideowego, które wyznacza jej najogólniejsze wytyczne, niech zawczasu zapoznaje się z samą praktyką i techniką pracy oświatowo-kulturalnej obok programów i ideologii partyi, obok teoryi socyalistycznych czy solidarystycznych, obok konjunktur polityki międzynarodowej, obok historyi i ekonomii, niech zna sposób agitowania wśród ludu, niech pozna nie tylko sposób zakładania czytelń i urządzania obchodów narodowych — lecz także tworzenie kooperatyw, kas pożyczkowych, stosunki zarobkowe i najemnicze w różnych częściach kraju, warunki rozwoju tej czy innej gałęzi przemysłu robotniczego, stosunki emigracyjne tak w Europie, jak w Stanach i Paranie.

Bo te sprawy społeczne są podłożem, na którym realna praca kulturalna może się rozwinąć wśród tej rozsianej rzeszy Polaków na wschodzie. Nie gołosłowna polskość, nie nienawiść do Rusinów, z którymi owszem częstokroć łączy lud polski interes społeczny, nie służba ad usum imperyalistów wschodnio-galicyjskich, lecz stworzenie z tego ludu świadomej swych praw i swych potrzeb społeczności, oto jest wytyczna programu polskiej pracy kulturalnej na wschodzie.

K. STEFAŃSKI.

KRÓLESTWO POLSKIE A ROSYA W OSTATNIEM PIĘCIOLECIU [1]).

III.

Już samo zaranie ery konstytucyjnej w Rosyi, sama walka o konstytucyę wywołała w Królestwie powszechny wybuch polityki „objedinieńja" wśród ogółu mieszczaństwa, oraz inteligencyi i żyjących politycznie jednostek i grup z warstw ludowych.

Niespodzianką — zjawisko to było tylko pozorną. Nie trzeba było być prorokiem, ażeby, porównywując choćby „Kilińszczyznę" w 1894 r. z „Dniami wrześniowymi" 1897 r. zrozumieć, że słabiuchny renesans haseł niepodległościowych, zainicyowany przez „Ligę Polską" i „P. P. S." nie zdołał nawet w części sparaliżować w pojęciach ogółu idei „wytrzeźwienia z mrzonek politycznych", nad którą wszyscy pracowali od lat czterdziestu w Królestwie. Nie zapominajmy, że potok który w 1905 r. uniósł nasz ogół inteligiencki, utworzony został przez liczne, a najróżnorodniejsze strumyki. Przypomnijmy sobie choćby ostatni okres ożywienia politycznej myśli w Królestwie, lata 1880-82. Było to po wojnie tureckiej, gdy rząd osłabiony przez wojnę i trapiony ze strony „Narodnoj Woli", osłabł. W Królestwie ustały na chwilę represye — a nie nadeszła jeszcze systematyczna rusyfikacya Hurki i Apuchtina. Posłuchajmy kilku ówczesnych enuncyacyi, z różnych obozów pochodzących.

„Sama konieczność historyczna zmodyfikowała stuletnie aspiracye polityczne narodu polskiego. Sama konieczność historyczna nie dozwala Polakom dążyć dłużej do odzyskania bytu państwowego — celu niedościgłego, do którego nie mogłaby doprowadzić największa ofiarność całego społeczeństwa polskiego i najenergiczniejsze jego usiłowania".[2])

Mówi to Wrotnowski — współpracownik Czartoryskich i jedna z tęższych głów stronnictwa Białych w 1861—4 r., motywując zwrot od niepodległościowości do ugody ze strony szlachty. [3])

Z innego punktu wychodzi — aby dojść do tegoż samego wniosku, rzecznik liberalnego mieszczaństwa — wódz obozu pozytywistów i pracy organicznej — Świętochowski — w swoich „Wskazaniach politycznych".

„Pragniemy życia i szczęścia. Otóż przekonaliśmy się w licznych doświadczeniach, że ani jednego, ani drugiego dać nam nie może gra w loteryę wojenną i zagraniczne łaski, lecz ciężka, spokojna i wytrwała praca... Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny staraniom o samodzielność wewnętrzną... Los otworzył przed nami szerokie pole podbojów handlowo-przemysłowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym odnieść możemy pewniejsze zwycięstwa, niż te, w których dotąd pokładaliśmy całą ufność...

..Nie oczekujmy niczego od przewrotów politycznych. Zajmujmy wszystkie stanowiska opuszczone, wciskajmy się we wszystkie szczeliny, puszczajmy korzenie wszędzie, gdzie grunt podatny się znajdzie"!..

Obok tego programu czynu — podnosiła w tych czasach głowę i odrodzona rewolucya polska — socyalizm. Posłuchajmy i głosów pierwszych socyalistów naszych.

„Nie niezależności Polski ludowi potrzeba, ale narzędzi pracy, nie z rąk rządów moskiewskich, pruskich, austryackich lub polskich je odbierze, ale własnych swych interesów broniąc, je zdobędzie". Czytamy to w przedmowie do sprawozdania z obchodu 50 letniej rocznicy listopadowej w Genewie, na którym członkowie Rady Głównej z Międzynarodówki, z Marxem na czele, zakończyli swoje orędzie okrzykiem „Niech żyje Polska", a główny mówca ze strony polskiej przemówienie swe zamknął okrzykiem: „Precz z patryotyzmem i reakcyą! Niech żyje Internacyonał i rewolucya socyalna"! [1])

Jaskrawiej jeszcze mówili delegaci polscy na kongresie międzynarodowym socyalistów w Chur, w październiku 1881.

„Proletaryat polski, wyszedłszy na drogę socyalistyczną, ma co innego przed sobą! nie do powstań ma się przygotowywać, ale do przewrotu socyalnego drogą propagandy, agitacyi i wreszcie organizowania swych sił na gruncie ekonomicznym i politycznym" — mówił jeden z założycieli polskiego ruchu socyalistycznego — Waryński.

„Wysuwanie.. na pierwszy plan kwestyi narodowościowej może być szkodliwem dla solidarnej akcyi z socyalistami rosyjskimi, dobijającymi się swobód politycznych, a to mianowicie z tego względu, że to może podnieść waśń narodową tam, gdzie najważniejszem jest zjednoczenie sił i solidarna ich akcya" [2]) oświadczył drugi delegat międzynarodowców, Dłuski, polemizując z Limanowskim, podnoszącym konieczność wypowiedzenia się socyalistów w sprawie ucisku narodowościowego, oraz niemniejszą konieczność zupełnej niezależności każdej partyi socyalistycznej we własnym kraju.

— — — — — — — — — — — — —

Dwadzieścia kilka lat upłynęło od czasu wygłoszenia tych zdań, a jednak, jak żywo brzmiały one w enuncyacyach programowych stronnictw i polityków ostatniego pięciolecia! Brak w nich tylko jeszcze lapidarnego wykończenia idei zgody z losem, które wygłosił wódz Demokracyi Narodowej, Balicki do kadetów na zjeździe w Moskwie w 1905, bodaj: „Wam państwowość — nam indywidualistom odwiecznym — działalność kulturalna"! Poza tem, przez cały czas mroczny między 1882 a 1905 rokiem nie ruszyła naprzód polityczna myśl polska w Królestwie.

Frazes „wytrzeźwienia" starczył za wszystko, a ogólny nastrój zgody z losem, będący wybitnym objawem mimowolnej dążności do asymilacyi politycznej z zaborem, ujawnił się przy pierwszej sposobności.

W chwili burzy dziejowej – mimo odruchowego zmartwychwstania idei państwowości polskiej przed oczami ogółu, „trzeźwionego z marzeń" przez swoich i obcych w ciągu lat 40, stanął ideał przekształconej Rosyi, miraż caratu, przeobrażonego w imperyum. Jako zaś program na dziś — program konkretny wzięto, już nawet nie odrębność Królestwa, bez względu na to, co ma być w Rosyi, lecz, poddanie się żywiołom rewolucyjnym i opozycyjnym rosyjskim w ich walce o konstytu-

[1]) Patrz zeszyty „Życia" XXII. i XXIII. z b. r.

[2]) „Kilińszczyzna" — manifestacya w rocznicę powstania 17 kwietnia 1794 r. „Dniami wrześniowemi" nazywano pobyt ces. Mikołaja II w Warszawie w 1897 r.

[3]) Aspiracye porozbiorowe Narodu Polskiego. Kraków 1881 r.

[1]) Res. Dzieje ruchu socyalistycznego w zaborze rosyjskim. Str. 101.

[2]) ibid. str. 122.

cyę wszechrosyjską, z warunkiem uzyskania autonomii Królestwa Polskiego.

Krótko mówiąc, doszliśmy do tego, że wobec naszych liberałów, radykałów i większości socyalistów – z roku 1905—10, margrabia Wielopolski w roku 1861 był czerwonym separatystą.

Czy jednak ubiegłe pięciolecie nie wykazało istotnego charakteru owej trzeźwości programu zgody z losem? Czy, na ogół biorąc, program autonomiczny może być uważany za bardziej konkretny, niż „marzenia niepodległościowe“? Zobaczymy.

Najczęściej słyszymy argument, że liberalna i radykalna Rosya zgodzi się na autonomię z łatwością, z całą zaś siłą wystąpi przeciwko separatyzmowi polskiemu.

Widzieliśmy wyżej, że jest to zdanie zupełnie słuszne. Rodiczew, rzucający Sieroszewskiemu podczas obchodu grunwaldzkiego napomnienie: „dotąd a nie dalej!“, nie jest odosobniony — jest on wyrazicielem ogromnej większości odrodzonej Rosyi, pragnącej zachować zdobycze zeszłych pokoleń.

I jest to zupełnie rzecz naturalna. Liberalna i rewolucyjna Rosya nie może być inną, niż była rewolucyjna Francya 1792 r., liberalna Austrya 1861 r., liberalna Turcya 1909 r., musi być centralistyczną, już choćby przez sam instynkt samozachowawczy. Taż sama liberalna, czy radykalna Rosya jest bądź co bądź również przesiąknięta nacyonalizmem, zresztą wbrew twierdzeniom różnych doktrynerów, będącym objawem demokratyzacyi patryotyzmu.

Umyślne zaś, czy mimowolne niedocenianie tego charakteru dzisiejszej „odrodzonej Rosyi“ tworzy zasadniczą fałszywą nutę w programach naszych „objedinitielej“. Jak widzieliśmy, nacyonalizmem nawskróś są przesiąknięte, zarówno konstytucya rosyjska, jak i polityka wszystkich niemal stronnictw, od Związku Narodu Rosyjskiego do socyal-demokratów.

Z drugiej zaś strony, specyalne warunki życia państwowego i społecznego Rosyi — i cały przebieg jej dziejów sprawiły, że nacyonalizm ten, twórczy w Czechach n. p., lub gdy otrząśnie się z endeckiego błota w Polsce, jest prawdziwą tragedyą odrodzonej Rosyi.

Wychowani w kulcie olbrzymiego cielska swego państwa od Kalisza do Kamczatki, „od zimnych skał fińskich do Kolchidy ognistej“, dzisiejsi Rosyanie w żaden sposób nie mogą wyzwolić się z pod uroku tego ogromu.

A wskutek tego i dziś Młoda Rosya nie jest w stanie zrozumieć, że to ogromne cielsko może istnieć jedynie, jako despotyczny carat — na który złożyły się — twórcza praca piratów normandzkich, zniszczenie kulturalnego Kijowa przez dziką Moskwę, „zbieranie ziem ruskich“ pod egidą państwowości tatarskiej, mistycyzm Iwana Groźnego i rozum polizeistatu — Piotra Wielkiego. Neguje „Młoda Rosya“ fakt, że dotychczasowe dzieje Rosyi, to następujące po sobie, naprzemian okresy rozbojów, lub upadku potęgi państwowej — a rozboje możliwe są tylko pod kierunkiem dawnego caratu.

Brak zaś zupełny tej odrodzonej Rosyi ambicyi twórczej i szczerego patryotyzmu.

Nie zapominajmy, że właściwa Rosya ma nieprzebrane bogactwa naturalne i 23 mieszkańców na kilometrze kwadratowym! Że naród ten, którego dziś wyższe warstwy żyją z rabunku bogatych kresów, a niższe sztucznie, z użyciem całego aparatu nowożytnego państwa i całego okrucieństwa tradycyi tatarskich, gnojone są w zupełnej ciemnocie, powinien mieć wielką przyszłość przed sobą, podczas gdy dziś znajduje się w stadyum rozkładu. Po odpadnięciu Finlandyi, Polski, Ukrainy, Litwy, Inflant, Rosya zmuszona do samodzielnego rozwoju i pracy nad sobą, będzie w stanie w bardzo krótkim czasie stworzyć jeden z najpotężniejszych ośrodków kultury wszechludzkiej i potęgi państwowej — podczas, gdy, żyjąc, jak teraz, jedynie z wyzysku podbitych krajów, na zawsze pozostanie faktycznym wasalem Niemiec w polityce wszechświatowej, a krajem „rabow i mundirow“ kulturalnie.

Tego nie widzą nasi „przyjaciele moskale“ i co więcej, widzieć nie chcą.

Życie zrobiło swoje. Odwieczna tradycya polityczna „kormlenja“ (żywienia się) na rachunek podbitych ludów weszła w krew narodu rosyjskiego na długo i przenikła jego umysłowość.

Znamienne tego dowody mieliśmy podczas rozpraw nad kwestyą agrarną w drugiej Dumie. Oto jeden przykład.

Szły debaty nad kwestyą, skąd wziąć ziemi dla ludu rosyjskiego.

— „Największe znaczenie dawnych podbojów rosyjskich — mówił jeden z posłów, polega na tem, że one dały narodowi zapas ziemi, z którego ten naród może skorzystać wtedy, gdy zajdzie potrzeba. Dawne rządy o tem zapomniały. Obowiązkiem Dumy jest przypomnieć tę sprawę dziś, gdy zjawia się potrzeba zużytkowania tego zapasu ziemi, zapasu, kupionego krwią rosyjskiego narodu“.

Że to demokratyczne i ściśle konstytucyjne wydanie prastarej polityki „wielmoż“ Katarzyny, pchających Rosyę do zaboru ziem Rzeczpospolitej dla „ugodij“ i majoratów, tyczy się przedewszystkiem bogatych kresów zachodnich, o tem nie może być wątpliwości. W każdym zaś razie program, wyłuszczony w przemówieniu powyższem, wymownie charakteryzuje pojęcia konstytucyjnych przedstawicieli odrodzonej Rosyi o misyi historycznej „inorodców“ w państwie.

Niezależnie jednak od tych pojęć, zadajmy sobie pytanie, czem formalnie i faktycznie byłaby autonomia Królestwa nadana przez liberalny rząd rosyjski.

Jak widzieliśmy, formalnie byłoby to uświęcenie ze strony polskiej całego szeregu aktów przemocy, nad Królestwem dokonywanych. Uświęcenie w dodatku przez samych Polaków, którzy nadanie autonomii musieliby poprzedzić uznaniem w ten lub inny sposób państwowości rosyjskiej.

Byłoby więc to coś w rodzaju uchwał sejmowych 1773 lub 1793, r. uświęcających rozbiory Rzeczpospolitej.

Królestwo — z kraju okupowanego przez Rosyę wojskowo — stałoby się prowincyą autonomiczną kraju rosyjskiego.

W zamian za uznanie państwowości rosyjskiej po kilkodziesięcioletnim oporze, Polacy otrzymaliby autonomię wewnętrzną, w granicach — jakie rząd uzna za stosowne.

Faktycznie zaś konkretna autonomia Królestwa, pozostającego nierozdzielną częścią państwa rosyjskiego, przedstawiałaby się bardzo ciekawie.

Wobec centralistycznych tendencyi — jakie niezbędnie związane są z postępową reformą państwa, o odrębności organizacyi Królestwa autonomicznego trudno mówić.

Jak odrodzona przez młodoturków Turcya, Rosya musiałaby przejść okres nie formalnej, jak dziś, lecz faktycznej, rzetelnej centralizacyi, bezpośrednio po swem przekształceniu się na państwo szczerze liberalne. Autonomia więc Królestwa polegałaby jedynie na usunięciu kilkudziesięciu tysięcy urzędujących w niem Rosyan i objęciu stanowisk ich przez Polaków. Byłoby to clou całej reformy, gdyż ani żaden sejm [1]) dla spraw gospodarki wewnę-

[1]) Jednym z nonsensów programów autonomicznych ostatniej doby była „autonomia z sejmem ustawodawczym“, czyli konstytuantą. Konstytuanta, choćby do spraw wyłącznie wewnętrznych kraju, wychodzi daleko poza ramy autonomii.

trznej Królestwa, w rodzaju galicyjskiego, ani dostosowanie norm prawodawczych do urządzeń miejscowych, nie odgrywałoby tu większej roli.

Otóż, czy można sobie wyobrazić dla Rosyi liberalnej dotkliwszy cios, niż owo wyrzucenie na bruk kilkudziesięciu tysięcy ludzi, w których przyzwyczajono się w masie widzić patryotów, pracujących dla dobra kraju, i męczenników, specyalnie za swe bohaterstwo wynagradzanych? Wrażenie, jakie to postąpienie z ludzmi, dla których wyjątkowo tylko odsunięcie od rządowego koryta nie byłoby wyrokiem śmierci głodowej, a przytem — ustosunkowanemi i wpływowemi w znacznej części, wywarłoby w Rosyi, napewno ciężko zaważyłoby na losach rządu liberalnego.

Nie zapominajmy również, „że autonomia Królestwa jednym zamachem zrujnowałaby setki kupców, dziś trzymających się poparciem rządu i biurokracyi, pozbawiłaby chleba kilkadziesiąt tysięcy robotników rosyjskich i wreszcie na kij żebraczy skazałaby tysiące, sztucznie flancowanych na kresach wschodnich Królestwa przez Bank włościański — chłopów rosyjskich.

Do tych ofiar dodajmy zastęp popów, co momentalnie straciliby pyszne synekury przy kilkunastu parafiach, a staliby się odrazu męczennikami w imię „uciśnionego prawosławia".

Tak wyglądałoby konkretne wprowadzenie autonomii w Królestwie.

A teraz zastanówmy się nad stroną ideową tej autonomii po stronie rosyjskiej.

Kapitulacyi polskiej ogół rosyjski nie pojmie, znaczenia jej nie będzie w możności ani odczuć, ani ocenić. Dla ogółu rosyjskiego „Polska" jest właśnie „ziemią, kupioną krwią rosyjskiego ludu", krajem, podbitym siłą oręża i niczem więcej. Wycofanie biurokracyi rosyjskiej z Królestwa, upadek kupców, strata zarobku przez tysiące robotników będzie czemś trudnem do pojęcia dla rzetelnego Rosyanina.

Szeroko mówią o sympatyach polskich wśród liberalnej Rosyi... Otwarcie mówię, że w nie nie wierzę i byłyby dla mnie one wręcz niezrozumiałe.

„Wam nic nie mówią i Kreml i Praga" ! zwracał się ongi Puszkin do Europy, gdzie głośno brzmiało współczucie dla Polaków po 1831 r. i miał racyę. Waśń polsko-rosyjska to bynajmniej nie czasowe nieporozumienie, to głęboka nienawiść dwóch typów kulturalnych, podniecana od wieków w dodatku niesłychanie umiejętnie. Pamiętajmy, że w 1612 roku, gdy szczyty kulturalne ówczesnej Moskwy — bojarstwo w unii z Rzecząpospolitą szukało ratunku — przeciw Polakom ruszyły masy ludowe z rzeźnikiem Kuźmą Mininem na czele, że w 1863 r., najgorętszemi były manifestacye antypolskie robotników moskiewskich z pośród całej orgii wiernopoddańczej. A młoda Rosya? Przeczytajmy utwór szczerego rewolucyonisty Gorkija „Starucha Izergil".

Stara cyganka opowiada swe życie — jest tam kilkanaście wierszy, poświęconych powstaniu polskiemu. Przy ich czytaniu, wręcz zdumienie ogarnia nad tą straszliwą nienawiścią ku nam człowieka, który wówczas Polski nie znał zupełnie, a który przecież życiem swym dowiódł wierności ideałom rewolucyjnym. I tak było zawsze.

Nie mnożąc przykładów, przypomnę tylko Turgenjewa, co jeden z pierwszych manifestował zgrozę z powodu kłamstw rządowych o okrucieństwach polskich w 1863 r., Dostojewskiego, nie mogącego oprzeć się tej żywiołowej nienawiści ku nam nawet w katordze, we wspólnej z Polakami niewoli i męce, Milutyna, bezwzględnie szczerego demokratę rosyjskiego, który nie wahał się w walce z polskością pójść ręka w rękę z zaciekłym ongi swym przeciwnikiem Murawjowem i t. d.

Dodajmy do tego odpowiednią tresurę umysłową całych pokoleń rosyjskich.

Toć w historyi każdego pułku niemal, walki z Polakami zajmują najświetniejsze karty, a odpowiednio spreparowane opowieści o „Warszawskoj Zautreni" (powstanię Kilińskiego w 1794 r.) lub „Warfołomiejewoj noczi" (22 stycznia 1863 r.) ścinają krew w żyłach każdego czytelnika. A toć w pojęciach przeciętnego Rosyanina my jesteśmy narodem „ksiendzow i panow", uciskających nieszczęśliwego „chłopa", którego Polak nazywa „bydło i psiakrow" (autentyczne twierdzenie w podręczniku geografii Rosyi na kl. IV szkół średnich). Skutki tej tresury ideowej mamy na każdym kroku przy stosunkach z radykałami rosyjskimi, a całą siłą widoczną jest ona na inteligencyi litwackiej, z którą wręcz porozumieć się niepodobna.

W końcu jeszcze jedno. Kwestya polska nie kończy się na Królestwie. Równocześnie z autonomią Królestwa, Polacy otrzymają równouprawnienie na Litwie i Rusi, w krajach „iskoni ruskich", w pojęciach ogółu rosyjskiego wydartych polskości. Ekspanzya polska do Rosyi, wręcz dla nas konieczna, uzyska mocną podstawę i „niebezpieczeństwo polskie", nie urojone, jak w Niemczech, lecz faktycznie dotkliwe dla niższych kulturalnie i mniej do samodzielności ekonomicznej zaprawionych i do walki gospodarczej przysposobionych Rosyan, stanie na porządku dziennym. To musimy sobie otwarcie powiedzieć.

I wobec tego wszystkiego, czyż można poważnie mówić o realizmie programu autonomicznego, czyż sam ten program można uważać za jakieś panaceum na polsko-rosyjskie dolegliwości? Mojem zdaniem, trudno. I, co prawda, najmniej słuszności mają ci, co program autonomiczny przeciwstawiają „marzeniom" niepodległościowym.

Ja widzę jedną tylko przyszłość polityki polskiej ze strony każdego rządu rosyjskiego, bez względu na jego postępowość. Polityką tą będzie stopniowe łagodzenie praw wyjątkowych i rozciąganie na Królestwo ustroju wewnętrznego całej Rosyi z zabezpieczeniem jednak interesów „mniejszości" rosyjskich.

Tego rodzaju politykę zapowiadają liberałowie, a dziś już zaczyna po części prowadzić Stołypin.

I, powiedzmy szczerze, taka polityka napewno przypadnie do gustu naszym klasom posiadającym ze względu na szlachecki kurs polityki dzisiejszego rządu, oraz ze względu na owe słynne „rynki wschodnie"... „Los otworzył przed nami szerokie pole podbojów handlowo-przemysłowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym odnieść możemy pewniejsze zwycięstwo, niż te, w których dotąd pokładaliśmy całą naszą ufność", wskazywał ongi Świętochowski i ta „zaborczość" stała się ewangelią ogółu naszego szlachecko-mieszczańskiego od realistów do esdeków.

Polska nowa, Polska ludowa, jeszcze w tej sprawie wypowiedzieć się nie mogła. (C. d. n.)



BOLESŁAW ZAHÓRSKI.

TOPOLE.

W nieskończoność daleką, zamgloną
Rząd stuletnich mnie wiedzie topoli —
Tkwię źrenicą zbolałą, strudzoną
W tej ciemności, co rani i boli.

Zbladły łuny krwawego zachodu,
Które myślom świeciły z wieczora —
Wszystko to, co mi serce za młodu
Tak raniło, osnuła myśl chora.

W nieskończoność zamgloną, daleką
Wiodą chwiejne me kroki topole,
Ich upiorne sylwetki mię wleką —
Łańcuch gwiazd już oplątał mą wolę.

Idę w mrok niezgłębiony — bezwolny,
(ciemna noc stoi wiernie na straży)
rozkaz gwiazd schodzę spełniać powolny
W głąb tajemnych ciemności witrazy.

I choć wiem, że tam czeka mię zdrada,
Że mi słońce zagasło na wieki,
Jednak nęci poświata mię blada
Złotych gwiazd co mi rani powieki.

Jednak miło mi myśleć, że nocy
Czarny welon otuli me ciało
I tak błogo bez siły, bez mocy
Złożę w cieniu swą głowę zbolałą.

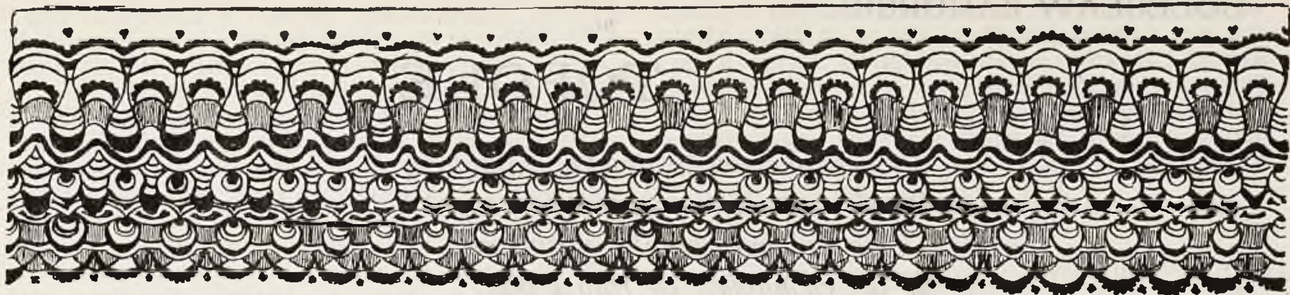
Jednak miło mi myśleć o bycie,
Że się skończy, o słońcu, że z rana
Już nie wstanie promienne o świcie
I że czeka mię boska Nirwana —

. . . .

Patrzą gwiazd błyskotliwych miljony,
Patrzy, słucha rząd czarnych topoli,
Jak ja idę w daleki, zamglony
Kraj przeznaczeń bez myśli, bez woli...

2 września 1910 r.





PETERSBURSZCZANIN.

Z ŻYCIA „KONSTYTUCYJNEGO“ W ROSYI.

Przyglądającemu się rozmaitym objawom współczesnego życia rosyjskiego może się wydać, że nic się w państwie carów nie zmieniło w porównaniu z tem, co się tam działo przed wojną japońską, przed rewolucyą i przed manifestem »konstytucyjnym« z d. 30-go października. Dla każdego jest przecież jasne, że pseudo parlament petersburski stanowi posłuszne narzędzie woli sfer panujących — tych samych, które panowały i przed r. 1905-ym; że gwarancye konstytucyjne pozostały martwą literą papierową, że wszelka myśl wolnościowa jest prześladowana ze spotęgowaną zaciekłością; że w dziedzinie szczucia wszystkich żywiołów nierosyjskich zjawiają się zarządzenia, niemożliwe sa czasów »przedkonstytucyjnych«; że wreszcie kradzieże dokonywują się obecnie w tak rozległym zakresie, że złodziejstwa z doby »absolutystycznej« wprost im dorównać nie mogą.

Wszystko to prawda, nie mniej jednakże stwierdzić należy, że są i pewne zmiany w kierunku, jeśli się tak wolno wyrazić, zdemokratyzowania się zasadniczych podstaw ustroju państwowego caratu. Mianowicie rozszerzyła się ogromnie sfera ludzi, którzy korzystają z panujących obecnie porządków w tej — jak ją almanach gotajski nazywa — monarchii konstytucyjnej z carem-samowładcą na czele.

W dobie »przedkonstytucyjnej« Rosya razem z jej 125 narodowościami była dojną krową kamaryli dworskiej i wiecznie głodnej biurokracyi, wysysającej soki żywotne państwa i jego ludności. Wszystko w Rosyi istniało dla tych dwóch czynników. Co było poza nimi, co nie było ściśle z nimi związane, to stanowiło ich pastwę, źródło ich dobrobytu, siły i przewagi. Poczynając od cara i jego otoczenia, kończąc zaś na najpodrzędniejszym stupajce politycznym, którego łapówki zaledwie dwukrotnie przewyższały pobieraną przezeń pensyę, wszystkie te »władze« tworzyły jednolity, spoisty, solidarny system, przystosowany do wytłaczania i wybijania z poddanych carskich najprzeróżniejszych opłat i poborów.

Wojna japońska i rewolucya nie zdołały wprawdzie zniszczyć tego systemu, nadwerężyły go jednak znacznie, rozluźniły i zmusiły do wchłonięcia nowych żywiołów. Część społeczeństwa musiała być dopuszczona do korzystania z dóbr, będących poprzednio monopolem kół dworsko-biurokratycznych. Oczywiście, dopuszczono do źródeł bogacenia się nie żadne masy, nie hołotą chłopską czy robotniczą, nawet nie mieszczaństwo, lecz te koła, które i dawniej stały najbliżej sfer panujących, zasilały je swym żywiołem i odnosiły korzyści pośrednie z istniejącego ładu.

Szlachta najbardziej konserwatywna i »iście-rosyjska« wraz z fanatycznem duchowieństwem prawosławnem wzmocniły chwiejące się panowanie biurokracyi carskiej, za co też otrzymały udział w rządzeniu Rosyą i w spotęgowanem wysysaniu soków żywotnych z jej nieuprzywilejowanych poddanych wszelkich narodowości.

Skutkiem wznoszenia się liczby żywiołów, wyzyskujących swe prerogatywy władców, musiały się rozszerzyć i ciężary, spadające na ludność, zwłaszcza nierosyjską i nieprawosławną. Albowiem nowe żywioły, dopuszczone do obfitego stołu dawnych władców, zażądały dla siebie nowych dań i zwiększonych porcyi. W ten sposób powstała n o w a polityka nacyonalistyczna, daleko dotkliwsza dla jej ofiar od dawnego ucisku narodowościowego biurokracyi. Tą drogą wynurzyły się najrozmaitsze projekty — oderwania Chełmszczyzny, przyłączenia do Rosyi gubernii Wyborskiej, ziemstw kuryalnych itd. itd.

Ale tem się nie ogranicza »demokratyzacya« ustroju państwowego Rosyi. Jednocześnie z dopuszczeniem do władzy »żubrów« szlacheckich i rozmaitego gatunku Eulogiuszów rozszerzyła się ogromnie sfera, uprawiająca na wielką skalę złodziejstwa tej kategoryi — która dawniej była wyłączną prerogatywą biurokracyi — ministrów, gubernatorów, policyantów. Do grabieży, popełnianych na społeczeństwie, zabrały się teraz żywioły, stojące poza biurokracyą, znajdujące się w bardzo luźnym z nią stosunku i sprytnie wyzyskujące na swą korzyść ten stosunek, żywioły z łona społeczeństwa.

Na istnienie tego nowego, już »konstytucyjnego« zjawiska wskazał szereg senzacyjnych procesów, w które tak nadzwyczajnie obfituje współczesne życie Rosyi. Między innemi procesy te ujawniły istnienie całego mnóstwa osób, które postanowiły uczynić źródłem swych dochodów wszystkie organizacye filantropijne.

Wiadomo wszystkim, że instytucye tego rodzaju dawniej, w Rosyi przedkonstytucyjnej zawsze były terenem operacyi złodziejskich członków kamaryli dworskiej i biurokracyi. Słynne kradzieże, dokonywane w »Czerwonym Krzyżu« przez wielkich książąt, skandaliczne zajścia między milionerami moskiewskimi a administracyą miejscową, która na własny dochód spieniężyła ofiary pierwszych, liczne defraudacye w instytucyach zapomogowych dla wdów i sierot po żołnierzach — wszystko to są rzeczy znane i Rosya »konstytucyjna« nic w tej dziedzine nie zmieniła. Ale obok tych złodziei, że się tak wyrażę, urzędowych, w ustroju

rosyjskim naturalnych i w opinii publicznej do wszystkich złodziejstw uprawnionych, zjawili się obecnie złodzieje prywatni, śmiało idący w ślady urzędowych.

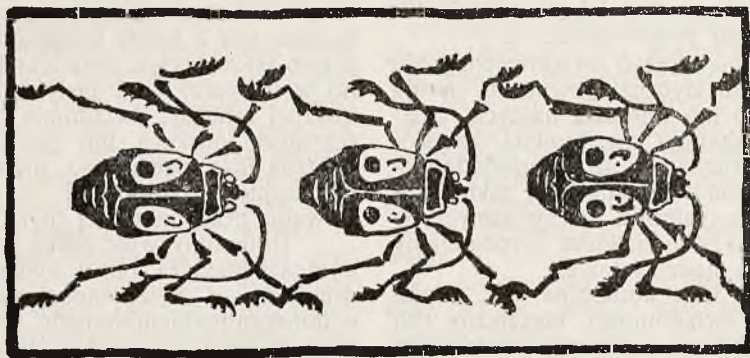
Złodzieje ci skorzystali skwapliwie z konstytucyjnej ustawy 4-go marca 1906 r., ułatwiającej zakładanie rozmaitych stowarzyszeń (byle nie robotniczych i nie podejrzanych o nieprawomyślność polityczną), i wyłoniły cały ich zastęp. Oto firmy niektórych: »Stowarzyszenie ochrony dla osób płci obojga i dla kalek-żołnierzy oraz ich rodzin«; »Stowarzyszenie opieki nad dziećmi, których ojcowie zginęli na służbie lub przy spełnianiu obowiązków służbowych«; »Stowarzyszenie wzajemnej pomocy dymisyonowanych wojskowych«; »Wszechrosyjskie stowarzyszenie pomocy we wszystkich wypadkach nieszczęśliwych«; »Stowarzyszenie miłosierdzia i powszechnej pomocy« i t. d. Nazwy, jak widzimy, bardzo obiecujące. Zdawałoby się, że niektóre z tych towarzystw biorą na siebie zadania, jakim nie potrafią sprostać instytucye ubezpieczeniowe państw najbardziej postępowych. Tymczasem w rzeczywistości filantropia, uprawiana przez te wysoce patryotyczne organizacye, posiada charakter specyficzny, iście rosyjski.

Ot np. »Stowarzyszenie miłosierdzia i powszechnej pomocy« posiadało taki preliminarz budżetowy: pensya prezesa księcia B. Wołkońskiego 4800—6800 rubli; pensya sekretarza prezesa — 1200 rubli; pensza dwóch wiceprezesów — księcia Golicyna i jenerał-majora Kistera po 3500 rubli; pensya kierownika ajentury — 2400 rubli. W sumie na utrzymanie zarządu preliminowano rocznie od 20.700 do 30.700 rubli. Ile miały otrzymać ofiary tego »Stowarzyszenia miłosierdzia i powszechnej pomocy«, nie zdołano wykryć, ale kierownicy tej instytucyi filantropijnej d l a s i e b i e byli pełni »miłosierdzia« i chęci »pomocy«. Dodać należy, że prezes tej instytucyi, właściciel historycznego nazwiska, był jednocześnie prezesem innej analogicznej instytucyi z takąż samą gażą.

Pytanie, w jaki sposób można w Rosyi zdobyć pieniądze na utrzymanie tak drogo kosztujących zarządów instytucyj filantropijnych? Otóż istnieją od tego ajenci, którzy »pracują« za 50 proc. zebranych sum. A jeszcze owi posiadają przedewszystkiem ubrania uniformowe (eks-wojskowych, byłych urzędników i t. d.), następnie zaś spryt wrodzony oraz znajomość wszystkich tych sposobów zdobywania pieniędzy, jakimi operują złodzieje urzędowi-gubernatorowie, policmajstrzy, naczelnicy »Ochrany« i t. d. Za pomocą ubrania uniformowego ajenci oddziałują korzystnie na swe ofiary, nadając sobie pozory rzekomo urzędowe. Stosunki, zdobyte łapówkami, pozwalają im korzystać z pomocy policyi, której członkowie towarzyszą zwykle ajentom od filantropii prywatnej, podczas wizyt u osobistości upatrzonych. Te ostatnie — właściciele publicznych domów, domów schadzek, jaskiń gry, klubów o dwuznacznej reputacyi, nocnych restauracyi, podejrzanych hoteli — rozumieją doskonale, że ich dobrobyt w zupełności zależy od takiego czy innego stanowiska władz. Ponieważ zaś władze policyjne pobierają od nich stały haracz w postaci »ofiar na cele filantopijne«, przeto właściciele takich lokalów rozumieją, że osobistość, ubrana w odpowiedni uniform i zjawiająca się w towarzystwie policyanta, m a p r a w o żądać haraczu. No i płacą ten haracz...

Innych »filantropiści« biorą na specyalne dyplomy honorowe lub odznaki, przypominające ordery. Innym znowu ofiarują portrety cara i carowej, żądając w zamian ofiar pieniężnych, przyczem każdy rozumie, że zrzeczenie się t a k i e g o podarunku może pociągnąć za sobą bardzo smutne następstwa. Powstały również specyalne wydawnictwa »patryotyczne«, nb. bardzo drogie i sprzedawane wyłącznie na dochód owych towarzystw prywatnych, ściśle naśladujących postępowanie grabieżców i szantarzystów urzędowych.

Jednem słowem »konstytucya« w Rosyi, konserwując dawne formy grabieży urzędowej w rodzaju praktyk intendanckich, stworzyła grunt dla nowych form, dostępnych i dla tych sił »społecznych«, które dawniej mogły kraść tylko wówczas, jeśli stawały na stanowiskach urzędowych. Pod tym względem »demokratyzacya« jest oczywista i niewątpliwa.



DR. WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

DOWÓD ONTOLOGICZNY.

Tak zwany dowód ontologiczny na istnienie Praistoty twórczej może być użyty w dwojakiem znaczeniu ze względu na to, że pod tą Praistotą twórczą możemy rozumieć Najwyższą istotę zarówno w filozoficznem, jakoteż i religijnem tego słowa znaczeniu.

Absolut dla filozofa jest Rzeczą samą w sobie, która stwarzając myśl, sama myślą nie jest, lecz tem, co Schopenhauer, jako ślepą w swej twórczości wolę, określił. Religijny zaś absolut jest Myślą samą w sobie, z której to Myśli samej w sobie łącznie z odkryciami intuicyi religijnej, zawartemi w tradycyi Objawienia, czyni religia Ojca Niebieskiego.

Rzecz prosta, że dla filozofa nietylko filozo-

ficznie rozumującego, ale także religijnie odczuwającego, który chce pogodzić mózg z sercem, czyli uczynić zadość postulatowi Lotzego, domagającego się od filozofii zespolenia wymagań rozumu z potrzebami serca, stosunek ów Rzeczy samej w sobie do Myśli samej w sobie, objawionej w postaci Ojca Niebieskiego, przedstawiać się będzie jako stosunek Prabytu do atrybutów jego, które jakkolwiek pojęciowo powstały w czasie, faktycznie w czasie nie powstały, gdyż z odwiecznej twórczości tego Prabytu, nie istniejącego bez tworzenia, wyniknęły.

Zwracam uwagę na ten stosunek spekulacyi rozumowej w zakresie Bytu do intuicyi religijnej dlatego, żeby uwidocznić brak sprzeczności między obu wyżej wspomnianemi znaczeniami dowodu ontologicznego, które się wzajemnie uzupełniają.

Jednak te dwa różne znaczenia są i trzeba na nie zwrócić uwagę przedewszystkiem dlatego, że, jak nas poucza rzut oka na historyę argumentu ontologicznego, każde wrogie wobec dowodu ontologicznego stanowisko wypłynęło li tylko z pomieszania obu znaczeń, jako że pod filozoficzne rozumowanie ontologistów podsuwano religijne ich przekonanie. To zawikłanie jednak było koniecznem dlatego, że dowód filozoficzno-ontologiczny i dowód religijno-ontologiczny określają paralelne fakty psychiczne, z powodu którego to paralelizmu filozofia i religia dla swego najwyższego odkrycia paralelny wyraz znalazły.

Zasadnicza forma argumentu ontologicznego jest następująca:

„Wrodzona jest nam idea Praistnienia twórczego, od którego pochodzą istnienia stworzone, a o którem musimy myśleć jako o istniejącem, bo istnienie jego narzuca się naszej myśli".

Biorąc teraz pod rozwagę religijne znaczenie dowodu ontologicznego musimy się najpierw zastanowić nad jego pozycyą psychiczną między objawami naszego instynktu poznawczego, nie dlatego, jakobym sądził, że deskrypcyjna teorya poznania w czemkolwiek się przyczynia do wyjaśnienia wartości metafizycznej naszych idei, ale dlatego, że prosta sprawiedliwość dla dowodu religijno-ontologicznego ze strony filozoficznej teoryi poznania nakłania nas do zwrócenia uwagi na stosunek jego do innych naszych aktów poznawczych, z którego to stosunku wyjaśni się jego wartość i bezwartościowość w porównaniu z wartością i bezwartościowością innych aktów naszej świadomości.

Pomijając dziedzinę wrażeń zmysłowych, gdzie naiwny realizm z apodyktyczną pewnością feruje wyroki o zdrowotności lub obłędzie naszych zmysłów, podczas gdy zarówno t. zw. prawda zmysłowa, jak i t. zw. fałsz zmysłowy są dla uświadomienia filozoficznego tak samo prawdą jako zaktualizowania zjawiskowe potencyalności rzeczy samych w sobie, jak i fałszem jako tylko zjawiska — rozumiemy pod prawdą tylko idee nadzmysłowe.

Otóż prawdą jest idea konieczna t. j. konieczny od refleksyjnej świadomości niezależny akt świadomościowy połączony z równie koniecznem t. j. od refleksyjnej świadomości niezależnem przekonaniem świadomie refleksyjnej świadomości, że przedmiot uświadomiony jest rzeczywistością pozaświadomościową. Pod prawdą moją rozumiem moją ideę konieczną, połączoną z mojem koniecznem przekonaniem, że przedmiot przezemnie uświadomiony jest rzeczywistością pozaświadomościową.

Pod prawdą naszą rozumiemy naszą ideę konieczną połączoną z naszem koniecznem przekonaniem, że przedmiot przez nas uświadomiony jest rzeczywistością pozaświadomościową. Pomijając prawdę moją, która nie będąc prawdą naszą nie może dla nas i dla mnie, o ile ja jestem jednym z nas, być prawdą, będę mówił tylko o naszej prawdzie, której jedynie wedle naszej koniecznej umowy przysługuje miano prawdy, Takiemi naszemi prawdami są obok idei kategoryalnych idee substancyalne, do których między innemi należy idea Boga, do której się odnosi dowód religijno-ontologiczny.

A więc, jak z powyższego określenia prawdy wynika, pierwszem niezbędnem znamieniem prawdy jest konieczność czyli niezależne od nas powstanie t. j. narzucanie się naszej świadomości tej idei, która ma być prawdą. Tę to cechę prawdy jasno formułuje Gorgias z Leontinoi w następujący sposób. Byt a myślenie (ὄντα — φρονούμενα) mogą być rzeczami różnemi. Można bowiem wiele rzeczy pomyśleć, które nie istnieją np. latającego człowieka, wóz jadący po morzu. W ten sposób zwraca Gorgias uwagę psychologiczną na ścisłą różnicę, jaka zachodzi między dowolną ideą przez naszą refleksyjną świadomość wytworzoną, a koniecznym przymusowym aktem nieświadomej siły twórczej, który to akt znamionuje prawdę.

Podobnie, jak naiwny realizm uwzględnia tylko konieczne czyli niezależnie od naszej refleksyjnej wyobraźni powstające, narzucające się nam wrażenia zmysłowe, odrzucając jako nieprawdziwe wszelkie igraszki wyobraźni, tak też i nasz intellekt odrzuca jako nieprawdziwe, dowolne funkcye myślowe, wszelkie domysły hypotetyczne wytworzone przez refleksyjną świadomość.

Drugiem zaś niezbędnem znamieniem prawdy jest konieczne poświadczenie świadomie — refleksyjnej świadomości, że przedmiot naszego aktu świadomościowego jest rzeczywistością pozaświadomościową, a nie tylko naszą świadomością, tylko naszym subjektywnym procesem myślowym.

Podobnie jak naiwny realizm uwzględnia tylko takie konieczne wrażenia zmysłowe, których przedmiot wedle koniecznego przekonania jego, istnieje poza niemi, odrzucając jako nieprawdziwe wszelkie inne konieczne wrażenia zmysłowe jak np. widziadło senne, halucynacye i t. p. tak też i nasz intellekt odrzuca jako nieprawdziwe takie konieczne funkcye myślowe, jak np. zabobony w dziedzinie wiary, których przedmiot wedle koniecznego przekonania świadomo refleksyjnej świadomości jest tylko naszem myśleniem, nie zaś także rzeczywistością pozamyślową. Skoro przeświadczenie refleksyjnej świadomości, że myślenie nasze jest identyczne z rzeczywistością pozamyślową, właściwie połączone jest z każdą konieczną, nawet błędną ideą, przeto istota krytyki świadomej polega na koniecznej, bo w twórczej woli instynktu badawczego ugruntowanej refleksyi świadomie refleksyjnej świadomości, która odrzuca lub przyjmuje wartość owego z każdą ideą złączonego przekonania nieświadomie refleksyjnej świadomości co do istnienia pozamyślowego przedmiotu tej idei.

Podwójny więc reflex koniecznej idei w świadomości badacza, raz w świadomości nieświadomie, drugi raz w świadomości świadomie przekonanej o transcendentnem istnieniu idei, stanowi dla teoryi naszego poznania istotę identyczności adekratywnej myślenia i bytu jako oględu intellektualnego (intellektuelle Anschaung), którym jest właśnie prawda.

Otóż jeżeli teraz zastanowimy się nad tem, czy argument religijno-ontologiczny spełnia owe dwa warunki wymagane od prawdy, to musimy stwierdzić, że czyni on zadość zarówno genetycznemu jak i wartościowemu kryteryum prawdy.

Zasadnicza myśl argumentu religijno-ontologicznego, to myśl naszego aktu wiary następująca: „Narzuca się w akcie wiary naszej świadomości religijnej Bóg, więc Bóg jest".

Zatem argument religijno-ontologiczny czyni zadość pierwszemu od prawdy wymaganemu warunkowi genezy aposteriorycznej t. j. koniecznej i od refleksyjnej świadomości niezależnej. Fakt bowiem

oglądania Boga na drodze religijnego oglądu jest stanem świadomości, zajmującym tę samą pozycyę psychiczną, co każde widzenie zmysłowe, dokonywujące się bez udziału naszej świadomej wyobraźni — tę samą pozycyę, co każde bezwiedne odkrycie prawa natury — tę samą pozycyę, co przedbłysk piękna w duszy artysty. Jednem słowem argument religijno-ontologiczny określa jeden z tych kamiennych aktów naszego instynktu poznawczego, w których byt jakikolwiek, czy zmysłowy, czy kategoryalny, czy Boski narzuca się naszemu myśleniu. Łącznie zaś z tą objektywacyą Boga w akcie wiary powstaje w trakcie koniecznej świadomej nad aktem tej objektywacyi refleksyi przekonanie świadomo reflektującej świadomości, że przedmiot myśli religijnej, Bóg, jest rzeczywistością pozamyślową. To przekonanie świadomej refleksyi religijnej o istnieniu poza wiarą przedmiotu wiary, psychicznie jest równoległe przekonaniu świadomej refleksyi kategoryalnej o istnieniu poza kategoryalnem myśleniem przedmiotu tegoż myślenia.

Tak więc prawda religijno-ontologiczna, czyniąc zadość zarówno objektywnemu jakoteż i subjektywnemu kryteryum naszego instynktu poznawczego, ma psychicznie tę samą wartość, co prawda kategoryalnego myślenia.

Jak to więc z powyższego wynika, w argumencie religijno-antologicznym wcale niema wniosku logicznego. Ten t. zw. wniosek, w twierdzeniu religijnym określony zdaniem „więc Bóg jest", które to zdanie jest wyrazem przeświadczenia świadomo reflektującej świadomości religijnej, nie jest wcale ogicznie zawarty w koniecznej idei Boga, ale jest tylko skutkiem, wywołanym w naszej świadomości religijnej przez przyczynę, którą jest konieczna idea Boga. Jak przekonanie o istnieniu danego związku przyczynowego jest skutkiem koniecznym, aposteryorycznie, bo od badającego intellektu niezależnie zrodzonym z przyczyny koniecznej idei związku przyczynowego, tak też i przekonanie o istnieniu Boga jest skutkiem koniecznej idei Boga, nie zaś wnioskiem przez analizującą świadomość z tej idei wyprowadzonym.

Jest ono jednem z ogniw łańcucha przyczynowości, która zarówno w religijnem, jak i kategoryalnem poznaniu te 3 zawiera zasadnicze momenty: 1) konieczną ideę 2) nieświadome 3) świadome przekonanie o transcendetności idei.

Ten, którego życie duchowe nie przebiegło przez te 3 etapy przyczynowości poznawczej, nazywamy sceptykiem, a w religijnem znaczeniu niedowiarkiem, który jest jakby w położeniu s ł u c h a j ą c e g o o nowoodkrytym klejnocie prawdy. Rzecz prosta, że wątpi on wtedy o istnieniu tego klejnotu tylko zasłyszanego z opowiadania tak długo, dopóki sam go nie zobaczy, a skoro zobaczy, już nie wątpi.

Skoro św. Pawła raz olśniła idea Boga, musiał po przez nieświadome i świadome przekonanie o istnieniu Boga uwierzyć Tak więc dogmatyzmowi instynktu poznawczego przeciwstawia się sceptycyzm poznawczy jako konieczność, towarzysząca brakowi dogmatycznemu.

Ale czy mamy prawo z konieczności exystencyalnego sądu kategoryalnego i religijnego wnioskować o istnieniu przedmiotu kategoryalnego i religijnego poza sądem kategoryalnym i religijnym?

To pytanie zadaje refleksyjna świadomość filozoficzna, nadnaturalna, o ile zastanawia się nad wartością poznawczą naturalnej świadomości refleksyjnej.

Sąd ów filozoficznej świadomości refleksyjnej nad przekonaniem kategoryalnem i religijnem nie wypada ani korzystnie ani niekorzystnie dla tych objawów instynktu poznawczego — wyrokiem jego jest wahanie.

Skoro mimo przeświadczenia kategoryalnego i religijnego mogą filozoficznie wątpić o istnieniu idei kategoryalnej i religijnej poza ideą kategoryalną i religijną, tj. skoro mogą uważać konieczną ideę kategoryalną i religijną za konieczną złudę kategoryalną i religijną, przeto istnienie bytu kategoryalnego i religijnego jest tylko problematyczne tak, że naturalne przeświadczenie exystencyalne nie jest filozoficznem przeświadczeniem exystencyalnem.

Tak, jak mimo przekonania, że następstwo zjawiska b po a, jest koniecznem następstwem wogóle b po a, filozoficznie wątpię, że opierając się na bezpośredniem poza kategoryalnem doświadczeniu wszystkich bez wyjątku wypadków następowania b po a, w istnienie wszystkich bez wyjątku wypadków następowania b po a, tak, że nie jestem pewny, czy nie wypłata mi figla bodaj jeden wypadek, podobnie, jak to się stało w biblijnej historyi z prześladowcami trzech młodzieńców w piecu ognistym — tak też mimo przekonania o istnieniu Boga filozoficznie wątpię w Jego istnienie, nie opierając się na bezpośredniem poza wiarą przeprowadzonem doświadczeniu Boga.

Gdybym o idei Boga wydał sąd, sprzeciwiający się jednej z cech o idei Boga, zawartych wykroczyłbym przeciw zasadzie identyczności taksamo, jak gdybym o idei trójkąta wyrzekł coś, co się sprzeciwia pojęciu trójkąta np. że w trójkącie suma 3 kątów nie równa się 2 R.

Ale nie uznając możliwej tylko idei Boga za rzeczywistą, nie popełniam żadnego występku przeciw zasadzie tożsamości, taksamo jak wtedy, kiedy nie utrzymują kategorycznie istnienia możliwego tylko trójkąta.

To są zasadnicze myśli antyontologicznej krytyki Kanta, posługującej się podobnem argumentowaniem także przeciw innym ideom substancyalnym t. j. przeciw idei duszy i kosmosu.

A zatem ze stanowiska filozoficznej świadomości refleksyjnej musimy skonstatować, że: 1) ponieważ przeświadczenie religijnej świadomości refleksyjnej jest jako nie wolne od wątpliwości tylko problematyczne, przeto prawda religijna jest tylko problematyczna. 2) religijny ogląd intellektualny jest z przyczyny problematycznego tylko istnienia swego przedmiotu tylko problematyczny 3) ponieważ z religijnego przeświadczenia nie można wyprowadzić wniosku o istnieniu Boga, dowód religijno-ontologiczny nie jest dowodem, a tylko wyrazem akcyi poznawczej w zakresie instynktu religijnego, wyrazem instynktownego dowodzenia, czyli wnioskowania religijnego, z którego to wnioskowania nic nie można wnioskować o prawdzie tegoż wnioskowania.

Ale wątpienie filozoficznej świadomości, bezsilne wobec potęgi instynktu poznawczego, nie osłabi rzetelnej wiary zarówno kategoryalnej jak i religijnej, a może się stać owszem nawet bodźcem dla natur głębokich, które niezadowolone z problematyczności wiary, dążą do bezpośredniego poznania. Zaspokojenie swego pragnienia nadzmysłowego poznania bezpośredniego znajdą one tylko w roz wiązaniu problemu religijno-ontologicznego.

Poznanie jednak Myśli samej w sobie, która istnieje i działa jako Ojciec Niebieski, jest niemożebne dla empirycznej myśli ziemskiej, która, aby poznać Myśl czystą, musi się wznieść ponad siebie do Myśli czystej, zjednoczywszy się z nią w akcie poznania nadzmysłowego. (Dok. nast.)

J. SZCZYREK.

KOOPERACYA SPOŻYWCZA.

II.

(Dokończenie).

Współdzielczość, jako system gospodarczy, jako skrystalizowana, jednolita, ekonomiczna forma instytucyi gospodarczej, zdolnej do odegrania poważnej roli w życiu społeczeństwa, na obszarze ziem polskich dopiero w ostatnich latach poczęła stawiać pierwsze kroki. Krajem intenzywnego rozwoju kooperacyi jest dziś Królestwo polskie, gdzie lata rewolucyi rozpoczęły okres żywej gospodarczej twórczości. Około 700 stowarzyszeń współdzielczych zasiało dziś Królestwo; osady fabryczne i wiele wsi jest już siedliskiem kooperatystycznej pracy. Ten gorączkowy ruch, rozpoczęty w czasach krótkich „dni wolnościowych" nie zamarł, ale wzmaga się, przenika kraj cały, buduje wyższe organizacyjne formy, ogniskuje się ideowo, stwarza własny bank współdzielczy, a wreszcie wkracza na wyższe szczeble struktury gospodarczej przez założenie hurtowni wspólnego zakupna towarów. O ile słowiańska miłość rządu carskiego nie objawi się znowu w chęci zduszenia tego młodego ruchu gospodarczego, można żywić nadzieję, że tutaj też wyrosną kooperatystyczne potęgi na wzór zachodniej Europy. Potężnym bowiem jest ruch gospodarczy, skoro w Anglii opiera się na 1.440 wielkich stowarzyszeniach, liczących 2.500.000 członków, na hurtowni zakupów z rocznym obrotem 650 milionów fr.; kooperacya posiada tam wielkie zakłady przemysłowe, zatrudniające kilkanaście tysięcy robotników, swych członków. Olbrzymim też jest ruch współdzielczy w Niemczech, posiada bowiem 2.140 stowarzyszeń i 1,300.000 członków, własną hurtownię o 100 milionowym obrocie. Wielką jest kooperacya francuska, włoska, niemal niedoścignionym jest ten ruch w maleńkiej Szwajcaryi lub Belgii.

Oprócz Królestwa znalazła kooperacya spożywcza podatny teren na Śląsku austryackim, na tym maleńkim skrawku polskiej ziemi, zamieszkanym przez wielką rzeszę robotniczą. Tu robotnik polski chlubnie rywalizuje z swym czeskim i niemieckim towarzyszem pracy, tu kraj cały zasiany już spółkami spożywczymi, tu jest prawdziwa szkoła gospodarczego, obywatelskiego i kulturalnego życia klasy robotniczej.

W Galicyi ruch spożywców dotąd ogromnie słaby, jesteśmy ciągle w stadyum początków, mimo że oddawna nie brakło wielu prób w tym kierunku. Gdyby do dziś istniały wszystkie stowarzyszenia spożywcze, dotąd w Galicyi założone, mielibyśmy ich co najmniej dwa razy więcej niż obecnie. Niestety podejmowane wysiłki kończyły się zbyt często nieszczęśliwie, czy to z powodu przysłowiowego braku cierpliwości u kierowników stowarzyszeń, wymagających ustawicznej i drobiazgowej pracy i opieki, czy z braku zrozumienia doniosłości tych organizacyi u członków, upadały też stowarzyszenia, niestety bardzo często, z powodu nieuczciwości ludzi, którzy kierowali stowarzyszeniem. Wogóle kraj nasz był dotąd bardzo niewdzięcznem polem dla działalności kooperatystycznej, a ciągłe bankructwa, powodujące depresyę i niewiarę w powodzenie tej organizacyi u nas, na długo wstrzymały nas w rozwoju. Jeżeli w tych warunkach istnieją jeszcze stowarzyszenia spożywcze i nawet powstają nowe, jeżeli wśród takiego zobojętniałego i niechętnego otoczenia stow. spożywcze kolejarzy w Nowym Sączu przetrwało już dziesięć lat, nawet się pięknie rozwinęło i dziś jest już właścicielem pięknego, pierwszego w kraju domu robotniczego, to zawdzięczać można tylko nadludzkim wysiłkom i poświęceniu tych, którzy na barki przyjęli cały ciężar prowadzenia stowarzyszenia.

Jeżeli w innych krajach twórców kooperatywy spożywczej nazywa się pionierami, to u nas, w kraju bezmyślności, słomianych zapałów i nieuczciwości należałoby ich otoczyć aureolą bohaterstwa.

Kto bowiem widział tę niespożytą energię, ogrom poświęcenia u twórców wielkiej dziś robotniczej placówki gospodarczej, kto patrzał na rzeszę robotniczą Nowego Sącza, pracującą po skończeniu zawodowej pracy przy budowie własnego domu, ten, mimo dotychczasowych ujemnych wyników, nie zwątpi w przyszłość kooperacyi w naszym kraju.

Ta bluza robotnicza, dobrze gospodarząca w stowarzyszeniu spożywczem, jest też niejako wskazówką, gdzie organizatorów stowarzyszeń należy szukać.

Doświadczenia zachodnich narodów, a w ostatnich latach i u nas poczynione wskazują, że robotnicy mają być tym niewzruszonym fundamentem, na którym budowa kooperatystyczna musi być oparta. Odkąd więc zaczęły w Galicyi powstawać coraz liczniej robotnicze spółki spożywcze, dodajmy że dobrze się rozwijające, odtąd można dopiero myśleć o trwałem i ideowem ujęciu całego ruchu, o podniesieniu go na wyżyny systemu gospodarczego, który spełnić może swą społeczną misyę.

Wykładnikiem potrzeb naszego ruchu jest też niedawno wydana cenna książka Edwarda Milewskiego [1]) ujmująca zasady kooperacyi i wskazówki, jak należy młody nasz ruch poprowadzić, aby stał się tem dla społeczeństwa, czem jest już dziś u innych narodów.

Autor obszernie w swej pracy omawia zasady kooperacyi; nikt nie może być od tej organizacyi usunięty, każdy ma w niej równe prawa, zyski uzyskane przez stowarzyszenie mają być rozdzielane między członków w stosunku do zakupionych przez nich towarów, część zysków zostaje w stowarzyszeniu, które gromadzi kollektywne fundusze, aby wzmocnić tem organizacyę lub użyć ich na działalność kulturalną.

Kooperacya spożywcza usuwa pośrednictwo handlowe, zbliża konsumenta do wytwórcy, wprowadza więc radykalną zmianę w obecnym ustroju przez usuwanie pośrednika handlowego. Należy jednak podkreślić, że kooperacya nie zwalcza handlu jako wymiany towarów, gdyż to byłaby barbarzyńska i bezcelowa walka wbrew najistotniejszym zasadom ekonomii współczesnej, ale zdąża do usunięcia pośrednika, jako odrębnej klasy społecznej, a pośrednictwo oddaje w ręce zrzeszonego konsumenta.

Kooperacya jako system gospodarczy, zmierzający do zmiany wpółczesnego ukształtowania sił ekonomicznych, staje w tej działalności obok wielkich organizacyi politycznych i zawodowych klasy robotniczej.

Pierwszym organizatorom międzynarodowego ruchu kooperatystycznego zdawało się, że będzie on przeciwstawieniem klasowej organizacyi robotni-

[1]) Edward Milewski Sklepy społeczne. (Rzecz o kooperacyi spożywców), Lwów, nakładem Związku stów. zarobkowych i gospodarczych.

czej, rzeczywistość jednak postawiła go w jednym wspólnym szeregu. Dziś te trzy organizacye kroczą obok siebie, jako trzy samodzielne filary wielkiej budowy ludowej. Ten moment równorzędności i wspólności ruchu znalazł też dobitny wyraz w pracy Milewskiego, gdzie czytamy:

„Wszystkie większe stowarzyszenia belgijskie posiadają wspaniałe domy ludowe. W nich się koncentruje społeczne i towarzyskie życie stowarzyszonych. Związki zawodowe posiadają tu swoje sekretaryaty.

Tu się mieszczą biblioteki i czytelnie, tu sale koncertowe, które jednocześnie służą do przedstawień teatralnych i kinematograficznych, do prelekcyi, do zebrań politycznych, wreszcie do uroczystych obchodów wielkich rocznic proletaryatu. Sala koncertowa w „Maison du Peuple“ więcej posiada miejsc numerowanych i więcej w ogóle zmieścić może publiczności niż królewska opera w Brukseli. Obok dużej sali koncertowej szereg' mniejszych. W jednej nauka śpiewu, w drugiej próba amatorska, jeszcze w innej narady jakiejś komisyi kooperatystycznej. Tam znów w innej sali deputowany socyalistyczny dla studentów uniwersytetu ma odczyt o specyalnym charakterze stosunków ekonomicznych w jego okręgu wyborczym.

Jeszcze w innej salce wieczorne nauczanie dzieci... Wreszcie na dole — jedno skrzydło zajęte sklepami kooperatywnemi, drugie — wysoką, olbrzymią salą klubową“.

Kooperacya spożywcza jest systemem gospodarczym, który niezależnie musi budować własny gmach przyszłości; kooperacya usuwa pośrednika handlowego a zyski jego oddaje swym członkom konsumentom; kooperacya na pewnym szczeblu rozwoju wywiera poważny wpływ na szkodliwość kapitalistycznego systemu wytwórczego; kooperacya łagodzi ciężkie przesilenie ekonomiczne spowodowane zaostrzeniem się walk klasowych; kooperacya jest szkołą wychowania obywatelskiego, siedliskiem kultury i oświaty najszerszych mas ludowych. Oto wytyczne kooperacyi spożywczej.

Jedno tylko należy wyrazić życzenie: aby znaleźli się w kraju pracownicy — kooperatyści którzyby z takim zapałem podjęli pracę twórczą, z jakim p. Milewski pisał swoją książkę. Młodzieńcza wiara w przyszłość polskiego ruchu kooperatystycznego bije z każdej strony tej książki. Wtedy za jednym z twórców stowarzyszenia spożywczego i domu ludowego w Nowym Sączu, robotnikiem Michalikiem będziemy mogli powtórzyć: „Wzniósłszy się dumnem czołem ponad pokonanemi trudnościami, stanął on (dom ludowy) jak murowany pomnik nowej w Polsce ery. Będzie odtąd wołał w dziejach przez nieskończony szereg lat ku milionowym rzeszom ludu polskiego: do pracy, do budowania przyszłości!“



TEODOZY SMEREKA.

LIST Z PARLAMENTU.

Jeżeli nie łatwem mi było napisanie pierwszego listu wśród gwałtu i wiru konstytuującego się z nowa parlamentu i wśród szalonego nawału szybko rozwijających się zdarzeń, to obecnie zadanie jest o wiele trudniejsze.

Gwałt i wir jeszcze wciąż trwa a zdarzenia nie tylko widoczne dla każdego oka ale i te, których ślady zaledwie tu i ówdzie się ukazują, płyną wartkim wciąż prądem. Tymczasem warunki, wśród jakich parlament pracuje, są po prostu straszne.

Upały dochodzą do niebywałych wciąż granic. Siły fizyczne jednostek są zupełnie na wyczerpaniu.

Nacisk z zewnątrz i poczucie moralne jakiejś odpowiedzialności wobec szerokiego ogółu wyborców, wobec praw całego ludu i wobec prostych konieczności życiowych nakazuje, aby nowa izba ludowa, mimo niekorzystnej pory roku i niekorzystnych warunków atmosferycznych, przecież u wstępu nowej kadencyi coś zdziałała.

Naturalnie i nowy rząd chciałby się czemś pochwalić i coś zdobyć a może nawet miłoby mu było, skorzystać z naturalnej nieporadności i ustąpliwości nowych wybrańców ludu, którzy nie znając pewnych koniecznych form i sztuk parlamentarnych nie chcą się dać ośmieszyć i nie raz ustąpić muszą.

Ponadto rząd każdy ma i swoich naturalnych pomocników i popleczników i świadomość celów i dróg, prowadzących do każdego celu, co nie jest zupełnie w mocy poszczególnych posłów, choćby najidealniej teoretycznie przygotowanych i najlepsze mających tendencye...

Toż jasnem jest, że w tych warunkach po zakulisowych różnych manewrach zwycięża z reguły przynajmniej w zasadniczych kwestyach... rząd, należycie przygotowany i należycie manewrujący.

Tak się ma i tym razem.

Dziewięć dni trwa już życie nowego parlamentu. Przeleciało przez izbę tchnienie oburzenia i zgrozy

z powodu wypadków Drohobyckich. Mów było już sporo i to nieraz przez kilka godzin trwających i nieraz z bijącem sercem słuchanych i żywymi przerywaniami odruchowymi współczutych, a mimo tego widzi się już teraz, że wielka ta tragedya nie znalazła w tym momencie właściwego echa.

Nie tylko o krzyk oburzenia, nie tylko o wyszukanie winnych i ich ukaranie idzie. Nie tylko musi być zaznaczoną, podkreśloną i do potęgi wielkiej podniesioną naturalna zupełnie odpowiedzialność rządu i władz i innych organów, z jaskrawą lekkomyślnością i pogwałceniem zasady szanowania każdego życia ludzkiego działających w tym wypadku przejmującym grozą. Nie tylko wreszcie idzie o wszelkie i jak najpełniejsze odszkodowanie dla ofiar niewinnych i ich rodzin — to wszystko jest jasnem i naturalnem!

Ależ jak doniosłem dla rozwoju stosunków jest bezwzględne zamknięcie tej drogi, po której takie wypadki i takie tragedye bezlitosne u nas nie tylko wciąż szły ale dotychczas z uporem się ponawiają! Jak koniecznem jest stworzenie warunków takiego rozwoju życia publicznego i politycznego i takiego poszanowania praw i urządzeń konstytucyjnych, swobody zgromadzeń i wyborów, ażeby życie ludzkie nie było lekkomyślnie na szwank narażone?

Cóż tutaj nie ciśnie się pod pióro, które jest wobec ogromu tragedyi za słabem, aby wszystkie te myśli oddać...

Czy jednak dyskusya drohobycka w tej chwili w parlamencie te myśli i pragnienia i dążenia — niewątpliwie *gros* izby ludowej ożywiające — w całej pełni oddała i oddać mogła?!

Nie. Rozprawy, przerywane z konieczności technicznej i programowej, kierowane na zimno za kulisami — nie oddały i nie oddadzą duszy parlamentu prawdziwej.

Na to musimy zaczekać — niestety nie wiem jeszcze, jak długo.

Równocześnie, naturalnie odruchowo, wypycha się pod wolą ogółu, pod naciskiem istniejących stosunków na czoło rozpraw izbowych sprawa druga: drożyzna, zamknięcie przywozu mięsa argentyńskiego, wygłodzenie ogółowi ludności grożące.

Tragiczne zestawienie. Dziesiątki trupów, niewinnie zabitych i ciężka zmora głodu, — oto pierwsze zadania, oto pierwsze rozprawy nowej Izby ludowej!

I znowu, czyż dyskusya w tej drugiej sprawie pierwszorzędnej, dla szerokich mas, czy wnioski i wyjaśnienia rządu i jego przedstawicieli i różne sztuki z głosowaniem urządzane odpowiedziały prawdzie stosunków i istotnym żądaniom ludu, ogółu mieszkańców państwa?!...

Nie i znowu nie. Zakulisowa gra, chęć przypodobania się pewnym grupom wyborców, dąsy między partyami a rządem, sprzeczne interesy agraryuszy i reprezentantów miast, współubieganie się o popularność, postawiły i tę sprawę pod fałszywym kątem oświetlenia.

Głosowanie było pod wpływem zmiennych humorów, a rząd stosunki swoje poufne z Węgrami w sprawie otwarcia dowozu zagranicznego mięsa i przywozu z Argentyny ubrał w taką powódź słów, wyjaśnień i frazesów i powoływań się na przepisy ustaw obowiązujących i różne klauzule, że sama prawda w tej rzeczy zupełnie utonęła. Naturalnie wobec krzyku miast i organizacyi urzędniczych i głośnego w tej chwili oburzenia miejscowego we Wiedniu, podniesienie atmosfery w izbie było ogromne. Imponująco, jednomyślnie kazano.... odesłać sprawę do komisyi. Olbrzymią także większością polecono tej komisyi zbadać tę rzecz do 24 godzin i zaraz Izbie przedłożyć sprawozdanie. Jutro zbiera się komisya...

Tak było i jest ze sprawami, wolą Izby na porządek wniesionymi.

Ale wola rządu pracowała tymczasem na seryo.

I oto wbrew pessymistycznym przewidowaniom, najważniejszy postulat rządu t. j. ustawa bankowa nie tylko znalazła się na porządku dziennym ale także dla tej sprawy znalazła się pożądana dla rządu większość. Ustawę bankową odesłano do komisyi, komisya w tym samym dniu zebrała się, całe przedłożenie, znane co prawda poprzedniemu parlamentowi, już przyjęła i sprawa ta już w dniu jutrzejszym przychodzi na prawdę pod zatwierdzenie parlamentu.

Co prawda zdobyto tam drobne ustępstwa dla potrzeb krajowych, ale tylko w drodze rezolucyi, zabezpieczono potrosze i *prestige* parlamentu w tej sprawie dawniej okrojone — ale na prawdę pokazało się to jedynie, że rząd umie działać za kulisami i swoją chęć i wolę przeprowadzać potrafi.

Swoją drogą nie da się zaprzeczyć, że ustawa bankowa dla stosunków wewnętrznych i państwowych ma pierwszorzędne znaczenie — ale nie da się również zaprzeczyć, że wobec obstrukcyi węgierskiej Izby szło prezydentowi przedlitawskiego gabinetu o pokazanie sprawności parlamentu wiedeńskiego, który odrazu w pierwszych dniach swego żywota taką ustawę gładko uchwala.

Naturalnie szło także nowemu premierowi o pokazanie, że umie sprawnie rządzić i kierować i to odrazu po objęciu nowych rządów...

Cóż jeszcze czeka teraz w tej chwili nową izbę?

Ha — jeszcze musi wysłuchać oskarżeń ministrów, reszty mów w przerwanej rozprawie drohobyckiej i... musi iść na odpoczynek...

Nie należy się gorszyć! Musi iść. Życie i praca całodniowa, do późnej godziny w nocy (posiedzenia izby trwają bez przerwy 11 do 12 godzin), wśród obecnej dusznej atmosfery i tropikalnej temperatury jest istotną torturą i męczarnią, której najsilniejszy organizm na długo nie wytrzyma. Wszyscy opadają ze sił i znużenia.

Upadły gabinet Bienertha Nr. III. na tem wygra niewątpliwie. Co tam będzie z oskarżeniami w takich warunkach?...

Dzisiaj zbiera się »Koło Polskie« na dokończenie rozprawy politycznej. Ma trwać do białego dnia, ale skończyć się musi...

O tem wszystkiem osobno. I ja krążąc tutaj i zbierając wieści już ginę także; — wybaczcie!

Wiedeń 27. lipca 1911.

DR. MARYAN KUKIEL.

POLACY W EGIPCIE.

(ADAM SKAŁKOWSKI: LES POLONAIS EN EGYPTE. 1798—1801. CRACOVIE 1910).

»Wyprawa Napoleona na Wschód nietyle jest powtórzeniem pochodu Aleksandra Wielkiego, z którym tak często się ją porównuje, albo też średniowiecznych *Gesta Dei per Francos,* ile świetnym prologiem dramatu, który wypełnił minione stulecie i którego ostatni może akt rozegrał się dla nas w chwili zajęcia Egiptu przez Anglików. Proroczy ów charakter polityki napoleońskiej na tem również polega, że wyprawa jego do Egiptu po raz pierwszy podniosła kurtynę wielkiej widowni kwestyi wschodniej«... Temi słowy określa dziejopis Niemiec nowoczesnych, Maksymilian Lenz, znaczenie wyprawy egipskiej generała Napoleona Bonapartego. Pod La Valette i Aleksandryą, pod Piramidami i Abukir, pod murami Ptolemaidy i pod Heliopolis rozstrzygały się po raz pierwszy splątane, brzemienne przyszłością zagadki — panowania na morzu Śródziemnem i panowania w Indyach, istnienia lub rozbioru Turcyi, nadewszystko zaś samowładztwa morskiego Anglii. Od końca XVIII w. zmieniło się wiele. Anglia ocaliła swoją wszechwładzę na oceanach. Odparła z Egiptu napad francuski, zagrażający Indyom, z czasem zaś sama stanęła w Egipcie żelazną stopą i sama zrealizowała jedno z zamierzeń wielkiego swego przeciwnika: przekopała międzymorze Sueskie. Dawna protektorka Porty otomańskiej, dąży dziś konsekwentnie do rozbioru Turcyi. Nowa potęga mocarstwowa, państwo niemieckie, przejęło na siebie rywalizacyę z Anglią, paraliżowanie jej dążeń światowładnych, ochronę *status quo* na Wschodzie. Francya wyrzekłszy się wielkich marzeń, cofnęła się ze swą ekspansyą zdobywczą w skaliste góry Atlasu i w piaski Sahary, napotykając co krok tę samą groźną, nowo-zjawioną potęgę Niemiec. Odmieniły się przeto role i nowi aktorzy stanęli na widowni, ale rzecz grać się zaczęła wtedy właśnie, w r. 1797 w uroczych ogrodach Passeriano, czy w r. 1798 w skromnem mieszkaniu przy ulicy Chanteraine, w kwaterze młodego bohatera z pod Lodi i Arcole.

A przy samym krwawym prologu brali udział Polacy. Brali udział pod sztandarem Republiki francuskiej, jako jej obywatele i oficerowie. Legionów nie wysyłano do Egiptu; szanowano jeszcze ich przeznaczenie, jako reprezentacyi świeżo ujarzmionego narodu i jako zawiązku przyszłej jego odrodzonej potęgi. Do Egiptu zagnały losy kilka tylko jednostek.

Trzej z pośród Polaków — uczestników wyprawy — wyryli głęboko swoje imiona na kartach jej dziejów. Ich wspomnienia, memoryały, raporty, korespondencyę urzędową zawiera ogłoszona niedawno duża książka wybitnego historyka doby napoleońskiej, p. Adama Skałkowskiego. Sto stron przedmowy, streszczającej w sposób lapidarny wyniki długotrwałych, sumiennych, drobiazgowych badań, wprowadza nas w tajemnicę ich losów, ich udziału w wielkiej sprawie dziejowej, ich twardej, tułaczej służby.

Imię pierwszego z nich wskrzeszone z pyłu zapomnienia, odgrzebane w piaskach rozpalonych pustyni piórem wielkiego pisarza, od lat szeregu żyje w umysłach tysięcy Polaków. To Józef Sułkowski.

Grafa Teodora syn, pułkownika cesarskiego, urodzony na rok lub dwa przed rozbiorem Rzeczypospolitej, na rok zatem lub dwa po przyjściu na świat w Ajaccio przyszłego cezara Francuzów, chował się młody Sułkowski w niezdrowej atmosferze dworu książęcego w Rydzynie. Opiekun jego, książę August Sułkowski, »był jedną ze świątlejszych głów swojego czasu i jednym z najnikczemniejszych charakterów«[1]), jednym z najbutniejszych oligarchów i najuniżeńszych służalców ambasadora rosyjskiego. Nad trującymi miazmatami otoczenia odniosła zwycięstwo dusza młodzieńca, pełna entuzyazmu, tryskająca energią. Wczas zbudziły się w nim błyski geniuszu. Wczas własną drogę obrała młoda jego wola. Wczas zapaliło się serce od wielkich idei wieku. Dla sztuki wojennej i dla myśli rewolucyjnych z Zachodu zdobył Sułkowskiego starszy jego przyjaciel, podówczas porucznik, Michał Sokolnicki. »Czytając... rozmowy ich obu, czując świeżość dusz, łamiących się z tem, co było próchnem i rozkładem, ma się wrażenie, że tutaj już, wstecz o ćwierćwiecze, pryskają nieczułe lody i przesądy świato ćmiące«... Jako chłopiec szesnastoletni, służył już Sułkowski jako porucznik w regimencie swego wuja, okrytym wkrótce chwałą, jako regiment Działyńskich. Republikanin do głębi duszy, wielbiciel Rewolucyi francuskiej, opresyi włościan wróg śmiertelny, jako młodzieniec 20-letni wystąpił on przeciw Ustawie Majowej z namiętnem pismem »Ostatni głos obywatela polskiego«[2]). Twórców Ustawy oskarżał o spisek przeciw ojczyźnie. Oburzał się na sukcesyę tronu. »I dla kogoż to, waleczni Polacy — wołał — pragniecie wylewać krew waszą? Czyż chcecie wylewać ją, aby utrwalić posag jednej dziesięcioletniej Saksonki, której szczęśliwy małżonek ma się stać panem waszym...?« Ale gdy przyszła pora przelać krew za tę nienawistną konstytucyę monarchiczną i za niepodległość ojczyzny, Sułkowski bez wahania obowiązek swój spełnił. Odbył jako kapitan nieszczęśliwą kampanię r. 1792, a bohaterską obroną mostu na rzece Zelwie z garstką strzelców przeciw masom wroga, po raz pierwszy okrył się chwałą w oczach całej armii polskiej. Po zdradzie królewskiej i akcesie rządu do Targowicy, należał do spisku wojskowego, mającego na celu porwanie króla i dalszą walkę z najazdem. Zamiar spełznął na niczem. Wojsko musiało bezczynnie spoglądać na poniewierkę, ujarzmienie i nowy rozbiór ojczyzny. Sułkowski nie wytrzymał; wziął urlop w pułku; zniósł się z dzielnym ambasadorem Francyi, Descorchem, i wyjechał skrycie do Paryża. Polska jest wszędzie, gdzie bronią wolności[3]), mówił, rozumiejąc snać, że ocalenie Polski wiąże się ze zwycięstwem Republiki francuskiej. Niełatwo przyszło mu dostać się w służbę francuską. Nie wystarczył list polecający Descorcha i chlubny atestat generała Zabiełły. Z trudem zaledwie uzyskał nieodzowne obywatelstwo francuskie; zamiast do armii, wysłano go w misyi dyplomatycznej na Wschód; miał powierzone zapewne wywiady co do położenia w Indyach angielskich. Nie dotarł jednak do celu swej misyi; pozostał w Aleppo czekając na instrukcye, pokąd

---

[1]) Michał Sokolnicki: Generał M. Sokolnicki, str. 7, sq.
[2]) Jenerała Józefa Sułkowskiego życie i pamiętniki, przez Hortenzyusza de St. Albin. Poz ań 1864. str. 54 sq.
[3]) St. Albin lc. 73.

głos walki śmiertelnej, toczącej się na północy, w jego ojczyźnie, nie skłonił go do wyjazdu do Konstantynopola. Stąd usiłował przedrzeć się do kraju z depeszami od Descorcha, wówczas posła francuskiego w Stambule, do rządu Kościuszkowskiego. Przybył zbyt późno. Walka była skończona. Rozegrała się bez jego udziału. Myśl młodego republikanta z goryczą dochodziła przyczyn klęski. Rzucał mu się w oczy jednoczesny tryumf Republiki francuskiej. Rodziło się w jego umyśle oskarżenie przeciw sternikom sprawy, oskarżenie zbyt łatwe, nie wnikające w głąb tragicznych dziejów walki nierównej — że nie dali włościanom pełnej wolności i przez to nie poruszyli mas ludu do obrony narodu. Tem natarczywiej musiało odezwać się w nim pragnienie wydarcia zwycięskim Francuzom całej tajemnicy ich rewolucyi, ich potęgi i ich zwycięstw.

Przebywał jeszcze rok prawie w państwie Otomanów. Badał stan i widoki handlu francuskiego; pisał dla ministeryum znakomite rozprawy polityczno-wojskowe o Turcyi i o Polsce. Powróciwszy do Paryża, za protekcyą usilną Descorcha, przydzielony został do armii Włoskiej i polecony gorąco przez ministra wodzowi tej armii, generałowi Bonapartemu. Jako kapitan piechoty, przydzielony do sztabu, w starym mundurze polskim, licho przerobionym na francuski, rozpoczął Sułkowski nową służbę. »Aby Polacy mogli się skutecznie bronić — pisał niedawno — muszą się koniecznie wprzód nauczyć być wolnymi i aby stać się znów wolnymi, umieć powinni umierać«. Uczył się być wolnym Sułkowski w pracy niestrudzonej, w ciągłem spozieraniu śmierci w oczy; geniuszem wojskowym zwrócił na się oczy wodzów, a narażał się, jak pierwszy lepszy grenadyer przy szturmach i atakach. Umiał Sułkowski zwrócić na siebie uwagę naczelnego wodza. Niebawem zdobył sobie jego szacunek i ufność. Zdobył sobie prawo do tajemnych rozmów z wielkim Korsykaninem o ważnych materyach polityki i wojny. Pierwszy zapewne z Polaków mówił Napoleonowi o swej ojczyźnie; chociaż poprzedzili go w szeregach armii Włoskiej inni tułacze polscy, Kosiński i Strzałkowski, on chyba pierwszy zadzierzgnął węzeł pomiędzy Napoleonem a Polską. Na jego ręce przesłał Michał Ogiński, emisaryusz patryotów polskich w Stambule, list wzywający Bonapartego, aby on, wybawca uciśnionych narodów, stał się wybawcą Polski. Sułkowskiemu dał Napoleon ustną odpowiedź, pierwsze wyrazy jego, do narodu polskiego obrócone, pierwsze zapewnienie sympatyi, pierwszą obietnicę pomocy, pierwszą twardą naukę na przyszłość:... »Polacy nie powinni się spuszczać na obcą pomoc... Powinni sami się zbroić... Naród przygnieciony przez sąsiadów, może się podźwignąć tylko z bronią w ręku«.

Niebawem tworzyć się miał pod skrzydłami armii Włoskiej, pod opieką jej wodza, zawiązek polskiej siły zbrojnej narodowej. Z instrukcyami od polskich dyplomatów emigracyjnych, a z listami polecającymi Dyrektoryatu i ministra wojny Pétieta przybywał do Medyolanu najpowołańszy przedstawiciel ostatniej armii polskiej, najtęższy z generałów Kościuszkowskich, opromieniony niezaćmioną żadnem niepowodzeniem aureolą zwycięstwa, przyjaciel generałów Klébera i Clarka, Jan Henryk Dąbrowski. W nawiązanych 4. grudnia 1796 r. układach z Bonapartem napotkał Dąbrowski na przeszkody, o które rozbiła się nieomal myśl legionowa. Zawinił tu podobno bohaterski rodak generała, zaliczony w poczet adjutantów Bonapartego i przebywający wciąż przy jego boku — Józef Sułkowski. Przez swe przekonania republikańskie i demokratyczne zbliżony do grupy t. zw. jakobinów polskich, którzy z t. zw. umiarkowanymi prowadzili walkę zaciętą o osoby raczej i o wpływy, niż o programy i hasła, uległ Sułkowski w pewnym stopniu wszczepionym przez nich uprzedzeniom i niechęciom; w agitatorach sprawy legionowej widział partyzantów zdetronizowanego króla, a taki Wybicki był nawet »zabitym Prusakiem« w jego oczach. Stąd może poszło, że wpływ Sułkowskiego na Bonapartego wyraził się tylko w rzucaniu kamieni pod nogi rodakom, stwarzającym nową armię tułaczą pod trójbarwną kokardą republikańską i z dewizą »Ludzie wolni są braćmi«[4]). Trudności zostały przemożone. Legiony powstały. Ale Sułkowski pozostał im obcy. Upajała go atmosfera czynu i zwycięstwa, upajała go wiara republikańska, przenikająca szeregi francuskie. Armie zabierają głos w sprawach wewnętrznych Francyi, broniąc demokracyi i republiki: Sułkowski rzuca w wir tej propagandy, która przenika wojsko, wyrazy pełne uniesienia, gniewu, groźby zwróconej przeciwko emigrantom i księżom, jako organizatorom kontrrewolucyi monarchicznej. Pracując niestrudzenie i bijąc się z szaloną odwagą, pochłonięty wytężającą służbą adjutanta, pisze Sułkowski przykuwające, głębokie listy o końcowych stadyach kampanii, o ekspedycyi korpusu generała Jouberta, jego zaufanego przyjaciela, do Tyrolu, o rządzie Republiki weneckiej. On to podobno podczas blokady Wenecyi przez dywizyę generała Kilmaine, samotrzeć tam pojechał »z niezłomną tylko wolą« dyktując prawo poniżonej pani Adryatyku[5]). Wybił się już wtedy wysoko ponad plejadę adjutantów naczelnego wodza. Łazarz Carnot, wielki »organizator zwycięstwa«, przeglądając jego korespondencyę wojskową, rzekł pono, że gdyby trzeba było jeszcze przeprowadzić kampanię równo zaciętą, a Bonapartego brakło, ten młodzieniec mógłby go zastąpić. Pomiędzy adjutantem a wodzem zawiązały się ścisłe stosunki, które jednak nie były przyjaźnią. Może jakobin-entuzyasta, gotów śladem Brutusa w pierś Cezara godzić sztyletem, przeczuwał w ubóstwianym wodzu „uzurpatora“, zabójcę republiki? Może wódz, opanowany już wolą do potęgi i władzy nad ludźmi i narodami lękał się prostej, głębokiej wiary republikańskiej adjutanta? „Sądził swego wodza często ze skrajną surowością — zapisał jeden z towarzyszy broni Sułkowskiego — nienawidził go i podziwiał zarazem“. Dla Bonapartego stawał się potrzebnym, koniecznym. Gdy zrodziła się myśl wyprawy na Wschód, ugodzenia Anglii w serce jej potęgi, wiadomości i doświadczenia Sułkowskiego odgrywać zaczęły rolę olbrzymią. Był on jednym z głównych autorów planu wyprawy egipskiej. Scisłe współdziałanie związało go z drogmanem francuskim, sędziwym Venture, przyjacielem jego jeszcze za dni stambulskich i teściem bliskiego jego przyjaciela, Piotra Maliszewskiego. Razem z Venturem udał się Sułkowski do Tulonu. Na wyjezdnem z Paryża owładnęło nim chwilowo smutne przeczucie. W Tulonie ustąpiło miejsca rycerskiej dumie i radości, z którą odpływała na wyprawę zamorską najprzedniejsza armia wielkiej Republiki.

Dnia 19. maja 1798 r. odbiła eskadra od brzegu. Dnia 10 czerwca na wyspie Malcie prowadził Sułkowski awangardę do szturmu na okopy La Valette. Inny Polak, uczestnik wyprawy, zapisał w swym pamięt-

---

[4]) Amilkar Kosiński we Włoszech. Poznań 1877. Str. XIX sq. 311 sq.

[5]) J. Drzewiecki. Pamiętniki. Wilno 1858. Str. 82.

niczku[6]): »Sułkowski, adjutant Bonapartego, młodzian pełen odwagi i radkich talentów, tej nocy (z 10 na 11 czerwca) na czele 500 karabinierów opanował wszystkie wybrzeża lewej strony, przymusił kawalerów Zakonu do opuszczenia baterejów, przeznaczonych na obronę brzegów i ścigał uciekających aż do murów fortecy«. Niebawem, 2. lipca, wdzierał się jeden z pierwszych na wyłom Aleksandryi, dwukrotnie zepchnięty z murów. Za te dwie akcye otrzymał skromną rangę szefa szwadronu, pozostając nadal adjutantem. Pod Piramidami rąbał się osobiście z jeźdźcami Mameluków, pod Salheyeh kulą przeszyty, zrąbany szablami damasceńskiemi, ostatnim niemal wysiłkiem powalił olbrzymiego murzyna, który rzucał się nań, aby go dobić. Mianowany szefem brygady, lecząc się w Kairze z odniesionych ran, rzucił się do pracy naukowej w Instytucie Egipskim; krwawą wyprawę pod Salheyeh opisał jak wycieczkę etnograficzną; opisywał w »Liście z Malty« i »Notatkach o wyprawie egipskiej« pierwsze epizody kampanii; przejęty pracami archeologów, sam znalazł biust Izydy i dwa głazy, hieroglifami okryte. Groza położenia armii, odciętej przez zniszczenie floty pod Abukir od podstaw operacyjnych i pozbawionej możności powrotu, budziła w nim gorączkę czynu. Nie wyleczony jeszcze, rwał się Sułkowski do służby.

Nadszedł moment, w którym wódz naczelny przyjąć musiał gotowość rannego, bandażami okrytego adjutanta. W Kairze wybuchła insurekcya. Gromady zbrojne pojawiły się w okolicy. Wódz Francuzów wahał się uciec do bombardowania dzielnicy zbuntowanej. Chciał wiedzieć wprzódy, czego położenie nieodzownie wymaga. Jedynym z obecnych przy nim adjutantów, któremu mógł wywiad okolicy powierzyć i który sam misyi tej się podjął, był Józef Sułkowski. O świcie dnia 1 brumaira — 22. października — wracając na czele 15 guidów z rekonesansu, napadnięty u wejścia do miasta przez tłum Arabów, legł wraz z wszystkimi prawie towarzyszami naprzeciw meczetu, który w fort zamieniono i ochrzczono jego imieniem.

Śmierć jego odczuł Bonaparte głęboko. Wyrwały mu się wreszcie wyrazy: Poległ, więc jest szczęśliwy. Pośród tłumu poległych towarzyszy powracała w jego wspomnieniach w ciągu całej epopei jego życia postać tego »Polaka, pełnego odwagi, wiedzy, zdolności«, którego »żadna przeszkoda nie mogła powstrzymać«. »Sułkowski — mawiał — zaszedłby był daleko. Byłby to cenny człowiek dla tego, ktoby przedsięwziął wskrzesić naród tych szlachetnych Polaków, tak słusznie burzących się przeciw potrójnemu podziałowi kraju i jarzmu, które ich przygniata«.

Gdy przyszedł moment podźwignięcia Polski przez Napoleona, zabrakło Polsce tego geniuszu, tej woli niezłomnej, tej niespożytej energii czynu, których wcieleniem był Sułkowski. Wraz z nim pogrzebana została w piaskach egipskich zdobywana przezeń przy boku Bonapartego w krwawym trudzie nauka umierania i nauka zwycięstwa.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pobieżnie tylko rzucić możemy okiem na losy dwóch innych znakomitych Polaków — uczestników wyprawy egipskiej, Łazowskiego i Zajączka, których imiona wraz z imieniem Sułkowskiego spoczęły na *Arc de Triomphe* w Paryżu.

Józef Feliks Łazowski, lat 35, szef batalionu, inżynier wojskowy, dzieckiem był pierwszej emigracyi polskiej do Francyi, tej, która poszła za Stanisławem Leszczyńskim i osiedliła się w Lotaryngii.

Francuz kulturą i językiem, zachował Łazowski z ojczyzną swego ojca węzły współczucia, które rozwinęło się i spotężniało wobec nieszczęść Polski, w zetknięciu z najnowszą emigracyą, tą z r. 1793 i 1795 Był czynny w Konstantynopolu i w Turcyi, zaliczony w etat oficerów otomańskich; projektował przebudowę fortec tureckich, plan obrony granicy od strony Rosyi. Plany jego nie zdały się na nic, służby poszły na marne wobec niemocy i letargu, w jakim pogrążona była Porta. Patrzał Łazowski na daremne wysiłki emigrantów polskich, aby skłonić Turcyę do ujęcia się za Polską; wyniósł stąd niechęć do Turcyi podwójną, jako syn Polski i jako oficer utalentowany i ambitny, którego usług nie umiano ocenić. Wyniósł przedewszystkiem przeświadczenie o nieuleczalnej słabości i nieuchronnym upadku tego państwa. Po powrocie do Francyi, r. 1797, należał do tych, który najbardziej umocnili Dyrektoryat w przeświadczeniu, że należy wziąć czynny udział w blizkim rozbiorze Turcyi. Memoryał jego z 4 stycznia 1798 wpłynął silnie na postanowienie w sprawie zaboru Egiptu. I on należał do najbliższych autorów wyprawy. Czynny był w niej przy wszystkich robotach fortyfikacyjnych, przy oblężeniach Jaffy i Akry, w bitwie pod Heliopolis, przy oblężeniu Kairu, przy pracach kartograficznych. Ciężko chory na oftalmię, odesłany został już po śmierci bohaterskiego Klebera, zwycięscy z pod Heliopolis, w listopadzie r. 1800 do Francyi. Miał wraz z generałem Vial oddać pierwszemu konsulowi Bonapartemu zdobyte sztandary i przedstawić mu los pozostałej armii... Przez dwanaście lat jeszcze, aż po czasy wyprawy moskiewskiej, służył Łazowski swej przybranej ojczyźnie jako generał [7]). Nie poszedł w szeregi warszawskie, choć zetknął się z nimi w r. 1807 i w r. 1809. Fortece polskie, artyleryę i inżynieryę polską stwarzali inni, rodowici Francuzi — Legrand, Pelletier i Mallet. Łazowski wówczas »był tylko jednym z Wielkiej Armii.« Trzecim był Józef Zajączek, były konfederat barski i emigrant po upadku Konfederacyi, były towarzysz »hetmana« Branickiego w obozie u Potemkina podczas wojny tureckiej, były generał kościuszkowski i chwilowy a nieszczęśliwy wódz naczelny, od r. 1797 francuski generał brygady, niebawem w Egipcie, generał dywizyi; z czasem uczynią go losy »Księciem namiestnikiem« Królestwa pod żelazną ręką Konstantego. Wieczny malkontent w stosunku do swoich, żelazny służbista w stosunku do cudzoziemców, ojczyzny sługa niesforny i sarkający, wierny na ślepo Napoleonowi, a potem W. Księciu, odbył Zajączek kampanię egipską bez szczególnego blasku, ale z honorem, wytrwałością i odwagą. Okopów Aleksandryi w r. 1801 bronił lepiej, mężniej i porządniej, niż w r. 1794 okopów Pragi. Na radzie wojennej jeden z ostatnich opierał się kapitulacyi, powiadając, że winien to rządowi francuskiemu, który jego, Polaka, przygarnął i któremu zawdzięcza życie...

— — — — — — — — — — — — — — —

Zdaniem p. Skałkowskiego nie było w Egipcie innych Polaków znanych z nazwiska. »Ci, którzy chcieli tam jeszcze wylądować, nie zdołali tego uczynić«. Znakomity badacz jest tutaj w błędzie. Wbrew poczynionym przezeń zastrzeżeniom (str. LXVIII) byli jeszcze w Egipcie trzej znani z nazwiska oficerowie polscy,

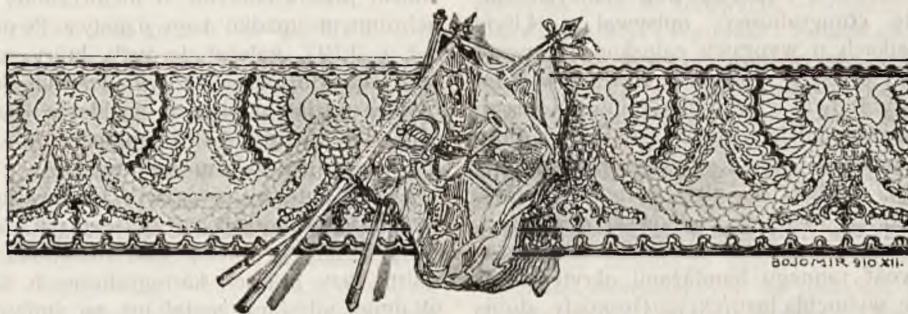
6) Pamiętniki Józefa Szumlańskiego, Lwowianin 1842, str. 117 sq.

7) Późniejsze służby Łazowskiego: A. M. S. (Skałkowski), Polskie nazwiska na łuku tryumfalnym. *Rzeczpospolita* 1910. Nr. 40.

a wylądowali wraz z główną wyprawą, zaliczeni do pułku 7-go huzarów francuskich w dywizyi Desaixa. Byli to: major Józef Szumlański, którego pamiętniczek polski znakomitym jest i niepospolicie barwnym przyczynkiem do dziejów wyprawy; pułkownik Grabiński i kapitan Hauman: wszyscy trzej z powodu pojedynku, w którym poległ pułkownik Zabłocki, wydaleni w Rzymie w maju r. 1798 ze służby legionowej i zaprotegowani przez Dąbrowskiego do służby francuskiej w oddziałach, odpływających 15. maja z portu Civita Veccia do Egiptu*). Walczyli pod rozkazami Zajączka pod Szebreis, odpierając pieszo szarże Mameluków. Bili się pod Piramidami i Salheyeh. Uczestniczyli w tryumfach „odwagi karnej nad walecznością niesforną". Nie mogąc znieść klimatu, uwolnieni, jako chorzy, w drodze powrotnej do ojczyzny popadli w ręce tureckie. Grabiński uszedł z niewoli przy pomocy ks. Ypsilantiego, hospodara wołoskiego; powrócił do Francyi i do służby w legionie. Szumlański przebył w niewoli szesnaście miesięcy, trzymany w kajdanach, na galerach. Wykupił go książę Adam Czartoryski i wyjednał mu amnestyę austryacką. Z Galicyi udał się Szumlański z powrotem do armii francuskiej; odbył przy niej kampanię r. 1805, a w r. 1809 przeszedł z niej do sztabu ks. Józefa Poniatowskiego.

Takie były imiona i koleje żołnierzy polskich, współuczestników wyprawy do ziemi Faraonów i pierwszego jej europejskiego podboju.

*) Józef Drzewiecki. Pamiętniki. Wilno 1858. tr. 115 sq. Dąbrowski. Pamiętnik. Str. 124. — Hurmuzaki: Documente privitore la istoria Romanilor, Supl. I., Vol. II, 204 sq.



Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

PRZECIW JEDNOSTRONNEMU HAKATYZMOWI.

W poważnym dzienniku berlińskim »Berliner Börsen-Courier« w numerze 339 z 22 b. m. pojawił się artykuł podpisany literami H. K. p. t. »Vorzüge und Nachteile in der Polenpolitik«. Treść owego artykułu znamienna, charakteryzująca obecne stadyum kwestyi polskiej w zaborze pruskim. Wobec tego uważamy za odpowiednie omówić ów artykuł.

»Ponieważ stoimy wobec zwrotu polityki pruskiej wobec Polaków, — tak zaczyna swój artykuł — uważałem chwilę obecną za szczególnie odpowiednią do rozejrzenia się raz jeszcze w prowincyi poznańskiej i skonstatowania, jakie rezultaty osiągnięto, a co zmarnowano«. Oczywiście przedewszystkiem autor uważał za stosowne przyjrzeć się zblizka akcyi kolonizacyjnej na terenie nowo założonych osad w Poznańskiem. Wrażenia odniesione z owej naoczni ujmuje w ten sposób: »Większość tych, co zwiedzili wsie osadnicze są zachwyceni tem, co widzieli i nie mogą dość się nachwalić owego pokojowego pochodu krzyżowego (friedlicher Kreuzzug), który Szwabów, Bawarów, Niemców nadreńskich, Westfalczyków, i kto ich tam wyliczy! — zgromadził, by wprawdzie nie pod znakiem krzyża, lecz w imię czarno-biało-czerwonego sztandaru nowy kraj zdobyć«. Z kolei autor oblicza plony akcyi kolonizacyjnej. Z zadowoleniem konstatuje powstanie 3—400 nowych wsi niemieckich na wschodzie. Napływ świeżych elementów na wschód posiada wartość choćby z biologicznego punktu widzenia, pozatem gospodarcze korzyści z tego są odrazu widoczne. Przybysze niemieccy mianowicie przyczynili się do podniesienia poziomu kultury rolnej w wysokim stopniu. W akcyi kolonizacyjnej popełniono wprawdzie w początku niejakie błędy, rozparcelowywano niekiedy grunty, które do parcelacyi się nie nadawały, na ogół jednak byt nowych osad — zdaniem autora — jest zapewniony. Rękojmią tego to znakomity materyał osiedleńczy — chłop niemiecki (za wyjątkiem mniej wartych pod tym względem Niemców z Wołynia i z nad Wołgi), który jest najlepszym w świecie kolonistą. Zdaniem autora stosunki między chłopami niemieckimi a Polakami są również zadawalniające. Zgadzają się oni ze sobą i wzajemnie się popierają.

To są dodatnie strony — zdaniem autora — akcyi kolonizacyjnej. Wprawdzie kosztuje ona miliony, które się przy pomocy podatków wyciska z ludności, »ale u nas często — pociesza się autor — wyrzuca się pieniądze w błoto. Nasza polityka junkierska też nie jest tanią zabawką (billiger Spass). Tutaj przynajmniej dajemy pieniądze, by junkierstwo ograniczyć«.

Z kolei przychodzi autor do oceny politycznych rezultatów akcyi kolonizacyjnej. O ile rezultaty gospodarcze, wedle poprzednich wywodów autora, są niekiedy pomyślne, jeżeli nawet kapitał komisyi kolonizacyjnej się procentuje (wedle obliczeń k. k. daje kapitał 2·3% dochodu, lecz autor sam przyznaje, że ten procent obliczano »mit mehr Liebe als Matematik«), to rezultaty polityczne dotychczasowej polityki antypolskiej są wyłącznie ujemne.

Przedewszystkiem stwierdza autor wielki rozwój gospodarczy u Polaków. Pozbawieni możności zajmowania urzędów państwowych, »rzucili się oni — powiada autor — z całym zapałem i energią do gospodarki rolnej i zaspakajają w niej swe ideały. Miłość do ziemi, to dla nich największa cnota«. Wprost przeciwnie jest u Niemców. Niemieccy właściciele ziemscy rekrutują się przeważnie z pośród byłych wojskowych i urzędników, którzy po ukończeniu karyery państwowej osiadają na roli, nie mając do tego odpowiedniego

przygotowania. Toteż kiedy Niemiec widzi, że mu się nie wiedzie, sprzedaje co prędzej ziemię i kontent jest, że się zbył kłopotu, »lecz Polacy sprzedawać nie chcą i za wszelką cenę trzymają się ziemi.«

Powszechnie komisya kolonizacyjna się skarży, że cena ziemi jest wygórowana. Prof. Bernhard swego czasu wypowiedział zdanie, że Polacy płacą takie sumy za ziemię, iż Komisya kolonizacyjna konkurować z nimi nie może, twierdził on jednak, że w razie jakiejś niepomyślnej konjunktury gospodarczej Polacy nie zdołają się uchronić od bankructwa. Owóż autor zbija to twierdzenie, »być może — powiada — że w razie zniesienia ceł rolnych wielu Polaków się nie utrzyma. Lecz z niemieckimi rolnikami w innych prowincyach stanie się wtedy conajmniej to samo. Jakaś radykalna zmiana ceł także się nie da pomyśleć. Ten czy ów Polak wreszcie może przeciągnąć cenę (sich überkaufen). Lecz cały naród tego nie czyni. Polacy nie są tak nieostrożni, by się przez przeciąganie cen do ruiny przyprowadzać. Są oni obecnie nader dzielnymi i przezornymi gospodarzami, którzy dobrze liczą.« Wzrost cen ziemi z 600 mar. za hektar na 1100—1200 tłumaczy autor ulepszoną gospodarką rolną.

»Powszechnie przyznają — powiada autor — że obecnie jest mniej ziemi w rękach niemieckich, niż przed akcyą kolonizacyjną. Stwierdzał to Bülow, piszą o tem pisma hakatystowskie. Natomiast Polacy temu przeczą i wykazują straty. Jest to zrozumiałe. Olbrzymia potęga państwa musiała przecież wpływ fizyczny wywrzeć. Ale przecież przez zysk kilku hektarów ziemi jeszcze dla niemczyzny nic nie zyskano.« Tembardziej, że przyrost ludności polskiej w ostatnich latach był większy niż niemieckiej.

Dalej stwierdza autor, iż niemczyzna w prowincyi wschodniej w miastach się cofa, i że przyrost jej na wsi nie wyrównywa strat. Dzieje się to od dziesiątek lat. Polacy po miastach dawniej pozostawiali przemysł i handel w rękach Niemców i Żydów, obecnie powoli te gałęzie opanowują. Rząd wprawdzie z dumą wskazuje na miasta, dla których stworzył »Hinterland« w postaci pierścienia osad niemieckich, lecz takich miast jest niedużo. Pozatem szkodą wielką jest, że Niemcy władają tylko jednym językiem i wskutek tego nie mogą wytrzymać konkurencyi z dwujęzycznymi Polakami. Daje się to właśnie najbardziej odczuwać w handlu i przemyśle. Niemieccy bowiem kupcy i rzemieślnicy, chcąc mieć polską klientelę, trzymać muszą polski personal pomocniczy i w ten sposób wychowywać pokolenie nowych kupców i rzemieślników polskich.

»Zdaje się — kończy swe uwagi autor — że p. von Schorlemer przekonał się, że należy zarzucić j e d n o s t r o n n ą politykę hakatystów. I tak powinno być. Nie chodzi o radykalny zwrot, lecz o zmianę.«

Głosy podobne, jak powyższe, mnożą się obecnie w prasie niemieckiej. Już nie tylko w pismach nadreńskich, które w sprawie polskiej zachowywały względnie trzeźwe stanowisko. Nawet w prasie pruskiej krytycyzm w stosunku do dotychczasowego s y s t e m u w polityce antypolskiej wzrasta. Tak bowiem jest w istocie, że o system tylko tutaj chodzi nie o z a s a d ę. Zasada bowiem jest ta sama i to przyznaje też autor omówionego artykułu, który się zastrzega, że mu nie chodzi o zwrot z dotychczasowej drogi, lecz o zmianę oręża tylko w walce przeciw Polakom. »Keine radikale Umkehr, aber eine Aenderung.«

SPRAWOZDANIA.

Czasopisma artystyczne. W krótkich odstępach czasu pojawił się cały szereg czasopism, jednakich niezwykłem wyposażeniem zewnętrznem i treścią umieszczanych artykułów. „Miesięcznik literacko-artystyczny", „Museion", „Sztuka", wydawane są w sposób dziwnie podobny. Przynoszą z sobą zadania służenia sztuce i kulturze. Wszystkie trzy — jak dotychczas — zadowoliły się tem znakomicie ogólnem określeniem i próbują od kilku miesięcy obietnicę spełnić.

Przyniosły wiele pięknych utworów belletrystycznych, wiersze Staffa, Kasprowicza, Orkana, Tetmajera. I gdybyśmy wspomnieli, że w „Miesięczniku" pisze stale swą monografię o niedomaganiach naszej umysłowej i artystycznej kultury Feliks Jasieński, a nadto, że pojawiła się tam wartościowa, choć wymagająca repliki, recenzya „Oziminy" Ad. Siedleckiego — to w tych kilku słowach powiedziałoby się wszystko, co o czasopismach tych powiedzieć można. Wstępna działalność powyższych czasopism estetycznych odznacza brak wyraźnych oryentacyi w współczesnem życiu. Bo gdy niewątpliwie ważną rzeczą jest piękny druk, pyszne reprodukcye — to także równie ważną, jeżeli nie ważniejszą, jest sprawa wytycznych, które każde czasopismo ma obowiązek czytelnikom podać. A żaden z miesięczników powyższych w tym kierunku niczego nie uczynił. Sądzimy, że bezstronność wobec zjawisk sztuki nie powinna zaznaczyć się ich omijaniem, a zwalczanie doktrynerstwa brakiem oryentacyi. Czasopisma, nie chcące być bezpretensyonalnem worem, w którym znaleźć się mogą wszyscy piszący, powinny starać się o wyrażenie z czyjejkolwiek strony i jakiegokolwiek stanowiska opinii jasnych i zdecydowanych o dzisiejszym świecie sztuki. Czasopismo winno być doradcą, informatorem, nawet opiekunem czytelnika. Czy wzajemne recenzye „Museionu" z „Miesiecznika", a „Miesięcznika" z „Museionu" przydadzą się na cokolwiek? Redaktorowie czasopism estetycznych powinni spełniać swe zadanie w sposób szerszy i jaśniejszy, niż czynią dotychczas. Kto dzisiaj w Polsce ma tę wyjątkową sposobność kierowania organem życia kulturalnego, nie powinien stawać w połowie drogi.

(*E K.*) *Elektorowie królów* Władysława IV., Michała Korybuta, Stanisława Leszczyńskiego i Spis stronników Augusta III. Zestawili w porządek abecadłowy Jerzy hr. Dunin-Borkowski i dr. Mieczysław Dunin-Wąsowicz. Lwów. 1910. in 4-o str. XIV, 2 nlb. i 280. Cena 15 kor.

Publikacya niniejsza wydana pod egidą lwowskiego Tow. heraldycznego, sumptem wdowy po znanym i cenionym heraldyku ś p. hr. Jerzym Borkowskim, a pod ostateczną redakcyą dra Wąsowicza, jest cenną kontynuacyą „Vocitu elektorów", wydanego jeszcze w r. 1845 przez Pietruskiego. Spisy elektorów t. z. suffragia, druwane zwykle zaraz po elekcyi, dziś w oryginalnych swych edycyach bardzo rzadkie, zebrane razem, są cennym materyałem zarówno dla heraldyków i genealogow, jak i historyków. Wystarczy powiedzieć, iż w tomie niniejszym podano około 27.000 nazwisk szlacheckich z objaśnieniem na kogo głosowali i z jakiego województwa, ewentualnie ziemi pochodzili. Bliższe wejrzenie w publikacyę pozwala na pewne ugrupowanie głosujących według miejsc swej przynależności i w niejednym wypadku umożliwi ściślejsze podanie przynależności partyjnej głosującego przy elekcyi. Spis stronników Augusta III. podano z manifestu z 14. września 1733, zawierającego protestacyę przeciw elekcyi Leszczyńskiego, a znajdującego się w Archiwum głównem warszawskiem. Wydawcom winniśmy prawdziwą wdzięczność za cenną publikacyę.

Leon Płochocki: *Chełmszczyzna i sprawa jej oderwania.* Kraków. Wydawnictwo „Życie" 113 str.

Jak wszystkie pisma L. Płochockiego, odznacza się i ostatnie, poświęcone rozpatrzeniu t. z. kwestyi chełmskiej, bogactwem materyału faktycznego i umiejętnością publicystycznego jego przedstawienia. Autor omawia hi-

storyę walki caratu z unią na terenie ziem, wchodzących w skład przyszłej gubernii chełmskiej, dzieje projektów oderwania Chełmszczyzny od ziem Królestwa Polskiego w czasach przedkonstytucyjnych, jak też w obecnej „konstytucyjnej“ Rosyi, stosunki narodowościowe, oraz kulturalne Chełmszczyzny, wreszcie przedstawia stanowisko ukraińców wobec kwestyi chełmskiej.

Do omówienia kwestyi chełmskiej, jak i współczesnej literatury polskiej w tej sprawie, powrócimy jeszcze, to też na razie ograniczymy się do polecenia książki ob. Płochockiego, która w sposób gruntowny i przystępny omawia całokształt kwestyi chełmskiej.

Jako dodatek do książki dodano J. Słowackiego: Rozmowę z Matką Makryną Mieczysławską, oraz dwa opowiadania Maurycego Zycha: „Poganin“ i „Do swego Boga“, literackie kreacye na tle martyryologii uciskanych przez carat unitów.

(*k. i.)*

SILVA RERUM.

REZOLUCYA. Koło Polskie uchwaliło 27 lipca rezolucyę, formułującą wytyczne polityki polskiej we Wiedniu. Na sam dźwięk słową „rezolucya“ przychodzą na myśl walki sejmowe z przed lat czterdziestu kilku, wielkie hasła Franciszka Smolki, hasła demokracyi i wolności narodów. Czyżby w myśl dumnych oświadczeń pokonanego trybuna wolności prawda, zawarta w jego wniosku, powracała choć w części po pół wieku blizko i odżywała w demokratycznem Kole Polskiem?

Point de rêveries... Nie samoistność państwowa ani system federacyjny widnieje na czele rezolucyi, jeno skromnie napomknięty, nie sprecyzowany program „autonomii kraju“, coś, jakby frazes odświętny, któremu cały dalszy tok rezolucyi kłam zadaje; łamie ona bowiem nawet konwenanse istniejące, wdzierając się przez wyrażenie *votum* zaufania trzem najwyższym dygnitarzom polskim w kompetencyę Koła sejmowego. Rezolucya Koła wiedeńskiego jest pośrednio zlekceważeniem sejmu lwowskiego, sejmu kuryalnego, odartego z popularności, powagi i znaczenia politycznego. Bez echa przeszedł głos z lewicy demokratycznej — wniosek posła Grossa, aby zwrot o autonomii uzupełnić podniesieniem konieczności reformy wyborczej do sejmu.

Po tym pustym frazesie — rzucony bez związku, bez przytoczenia racyi, które przemawiają za obraniem tej właśnie drogi — zwrot o „tradycyjnej polityce dynastycznej i mocarstwowej!

Jesteśmy i będziemy zwolennikami opierania przyszłości naszej narodowej o zabór austryacki, tem samem zaś zwolennikami bezwzględnego popierania polityki zagranicznej austryackiej, o ile idzie ona w kierunku zbieżnym z interesami narodu polskiego. Ale to, co uchwaliło Koło Polskie, tchnie nazbyt wyraźnie „tradycyjną polityką“ stańczykowskiej ugody, a dynastyczny punkt widzenia zda się odtąd domłnującą myślą polityczną rezolucyi, tam nawet, gdzie mowa o potrzebie stałej większości parlamentarnej i o zgodzie narodów.

Mówi rezolucya o „prawach narodowych“. Lecz mówi tylko w związku z „autonomicznemi zasadami kraju“. Przemilczany Śląsk. „Prawa narodowe“ zacieśnione przez to do „kraju“, do prowincyi, do Galicyi. Ani jeden zwrot rezolucyi nie zawiera w sobie idei ogólno-polskich, ani jeden nie był podyktowany przez myśl państwową polską. Zaprawdę, nie jest jej siedliskiem komisya parlamentarna Koła Polskiego!

A jednak jest zwrot, który nieco otuchy dodaje. Wyrzeczona zasada, sprzeczna całkowicie z „tradycyjną polityką dynastyczną“ stańczyków krakowskich. Oto uczynione *iunctim* pomiędzy popieraniem rządu, a stosunkiem tego rządu do praw i do słusznych postulatów naszych. Ostrze tego zwrotu rezolucyi miało być stępione przez ogólnikowość wyrażeń. Temu zapobiegł poseł Kozłowski, poparty przez wszystkich szczerych patryotów. Silnie i wyraźnie wysunięto na plan pierwszy postulaty w sprawie dróg wodnych, sformułowanych ściśle i nie dwuznacznie. Uczyniono to mimo znamiennych protestów p. Leo, który skarżył się, że to przykładanie rządowi rewolweru do piersi... To, na co się skarżył „demokratyczny“ poseł Leo, to właśnie jedyna w rezolucyi myśl zdrowa, obywatelska, patryotyczua. Uczymy się nareszcie żądać — chociaż żądamy jeszcze wciąż okruchów z tego, co należy nam się na mocy prawa!

KRWAWE WYBORY PRZED SĄDEM PARLAMENTU. Bolesna dla kraju, dla Koła Polskiego i dla parlamentaryzmu austryackiego „debata drohobycka“ w Radzie Państwa była może operacyą ciężką, ale zbawczą; potępienie metod wyborczych, utrzymujących się w Galicyi, było tak ogólne, tak silne w wyrazie, że ów sąd nad wyborami ostatnimi większy niewątpliwie skutek odniesie, niż debata galicyjska w r. 1907. Tem bardziej, że tym razem z wnioskiem nagłym w sprawie rzezi drohobyckiej, żądającym ukarania winnych i odszkodowania ofiar wystąpiło dzięki posłom postępowym, a dr. Grossowi w pierwszym rzędzie, samo Koło Polskie i przez akt ten dokonało niejako uroczystego zerwania z smutną tradycyą „rozbojów wyborczych“. Niestety nie uzyskał większości w Kole merytoryczny wniosek dr. Grossa i towarzyszy, wniosek o reformę ustawy wyborczej i stworzenie trybunału wyborczego. Odrzucili go ci, którzy najbardziej lękają się niesfałszowanej woli wyborców, konserwatyści i przyjacieie ich najbliżsi. Potwierdzili tem samem ciężkie oskarżenie posła socyalistycznego, dr. Diamanda, który w swej potężnej mowie parlamentarnej wołał: „Panowie musicie stworzyć ustawę, którąby rzeczywiście uczyniła możliwem — wybieranie. I moi panowie, wy z ław konserwatywnych, nie lękajcie się takiej ustawy. Popełniacie takie zbrodnie bez potrzeby, z lichego strachu... Zaniechajcie waszej obojętności dla interesów ludności. Do walki przeciw nam wystąpcie z programami, z pracą polityczną, aby uzyskać zaufanie wyborców. Postępujcie jak ludzie, a znajdziecie możliwość egzystencyi... Mordujecie z politycznej gnuśności — mordujecie z przyzwyczajenia“!..

Wniosek Grossa obaliła przypadkowa większość; oddano go komisyi parlamentarnej na pogrzebanie. Ale wniosek ten wróci. Upaść mu nie pozwolą wszyscy ci, którzy pragną, by niemożliwe były na przyszłość te obrzędowe niejako debaty parlamentu o wyborach galicyjskich.

PRZED ZJAZDEM RAPPERSWILSKIM. Zbliżający się zjazd Rady Muzealnej wywołał na nowo zainteresowanie się ogółu polskiego głośną w roku obecnym sprawę muzeum rapperswilskiego.

W naprężeniu czeka społeczeństwo polskie na wynik obrad zjazdu. Dla Rady Muzealnej przyszła ostatnia chwila zaradzenia, we własnym zakresie skandalicznym stosunkom, panującym w rapperswilskiej instytucyi, bez przymusowej interwencyi czynników zewnętrznych.

W prasie polskiej zbliżający się zjazd znajduje wyraz w formie wniosków stawianych czy to przez polskie instytucye, czy też powołane do tego jednostki, wniosków, proponujących sposób rozpatrzenia się w dotychczasowych stosunkach w instytucyi i ich radykalnego naprawienia.

Wspominaliśmy już o uchwałach wydziału krakowskiego Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury, obecnie mamy do zanotowania dwa inne głosy.

Pierwszy to głos kontrolera Rady Muzealnej ob. Zygmunta Miłkowskiego.

W artykule p. t. „W sprawie rapperswilskiej głos kontrolerski“, rozesłanym do pism polskich, zawiadamia on ogół polski o wniosku, jaki on, jako kontroler, uczynił na ręce prezesa R. M. Józefa Gałęzowskiego, celem podania sposobu zaradzenia złemu, istniejącemu w instytucyi rapperswilskiej. Ob. Z. Miłkowski proponuje: „Oddanie się Zarządu muzealnego pod Polski Sąd Obywatelski“. Takie pod sąd samooddanie się koniecznem jest: 1-mo dla załatwienia nie zaszczytnej dla nas sprawy pomiędzy sobą bez możliwego wytaczania jej przed rządy szwajcarskie; 2-do dla tego, że zarzuty w niej są tak dosadne, a oskarżenia tak ciężkie i w takie wiarogodne zaopatrzone świadectwa, że ślepa jeno łatwowierność, w połączeniu z obojętnością na cześć naszą narodową,

może je z zawiści lub z widoków osobistych pochodzącą miarą plotkarstwa ważyć". W dalszym ciągu swego artykułu ob. Z. Miłkowski wskazuje na olbrzymie znaczenarodowe posterunku w Rapperswylu. „Zajęcie się nim słowa ob. Z. M. — przez polską w kraju opinię publiczną i wysadzenie z łona jej komisyi czy komitetu obywatelskiego, odpowiednio w sądowe atrybucye zaopatrzonego, mogłoby się ogromnie — tak dla sprawy polskiej, jak na korzyść naszej zagranicą światła szukać zmuszonej młodzieży, jakoteż dla narodowej czci naszej, do uratowania posterunku tego przyczynić".

Drugim wnioskodawcą na zjazd rapperswylski jest redaktor „Słowa Polskiego" Zygmunt Wasilewski. W numerze 333 i 337 b. r. „Słowa Polskiego" omawia red. Wasilewski sprawę rapperswilską. „Bardzo długo wahałem się, powiada red. Wasilewski — czy wogóle podnosić te rzeczy publicznie i teraz z przykrością wielką to piszę; **ale jak tu ukryć te rzeczy,** a głównie — jaki znaleść inny sposób oddziałania, gdy tyle lat dyrekcya muzeum okazuje ambicyę tylko w jednym kierunku: postawienia na swojem, aby tylko nic w tem, co jest złego, się nie zmieniło. *Co ma zresztą uczynić z tym fantem redakcya dziennika, gdyby nawet redaktor chciał bronić pozycyi, gdy ze wszech stron nadchodzą skargi, domagające się pewności*".

Po tem znamiennem usprawiedliwieniu red. W. przechodzi do meritum sprawy. Przedstawia się mu ona jako zagadnienie techniczne. Instytucya dostała sie w niewłaściwe ręce, Rada zaś nie tylko nie postarała się, by w drodze zarządzeń gospodarczych oddać rządy w ręce fachowe, lecz ponadto trwa w uporze. Stąd słuszne przeciw niej rozgoryczenie.

Ponadto zdaniem red. W. zło tkwi w niezrozumieniu przez Radę istoty instytucyi rapperswylskiej, jako archiwum emigracyi, mającego wykazać współżycie Europy z Polską, oraz przedstawić obcym przeszłość i stan obecny kultury polskiej. Niezdawanie sobie sprawy z istoty instytucyi rapperswylskiej było powodem owych projektów, zmierzających do pozbycia się części zbiorów rapperswylskich t. j. biblioteki i umieszczenia jej w kraju z pozostawieniem jedynie zbiorów muzealnych w Rapperswylu. W końcu red. Wasilewski proponuje:

1. Zjazd tegoroczny winien poddać rewizyi statut, aby zdecydować się na typ instytucyi i sformułować sobie jasno cel jej i zadania.

2) Odpowiednio do zadań zreorganizować zarząd:

a) oddzielić prezesurę rady od stanowiska dyrektora, który musi być jeśli nie fachowcem, to przynajmniej miłośnikiem roboty muzealnej.

b) dyrektorem może być na miejscu pracownik, który dla uproszczenia zajęć i taniości — mógłby być zarazem bibliotekarzem przy pomocy siły podrzędnej.

c) w każdym razie pracownikiem głównym, odpowiadającym za byt i rozwój zakładu przed Radą, może być tylko człowiek fachowo rzecz traktujący. Między zaś Radą a Muzeum związek dodatkowy stały powinien utrzymywać kontroler, przestrzegający wykonania uchwał Rady i wogóle łączności między Radą czy jej prezydyum „a robotą w Muzeum".

UKAZ p. GAŁĘZOWSKIEGO. Dyrektor muzeum rapperswilskiego i prezes Rady muzealnej, protektor p. Rużyckiego i dziejących się w muzeum aktów wandalizmu i barbarzyństwa, p. Józef Gałęzowski nadesłał nam „w imieniu i z polecenia delegacyi Muzeum" pismo, w którem Delegacya owa replikuje na „głos kontrolerski" pułkownika Miłkowskiego, zwołujący na dzień 5 sierpnia ludzi, którym sprawa Muzeum jest droga na zjazd do Rapperswilu. Delegacya „widzi się zmuszona" oświadczyć „że chociaż pułkownik Miłkowski rzeczywiście nosi w składzie Rady naszej tytuł kontrolera Muzeum i jest płatnym z funduszów muzealnych, to jednak nie ma on najmniejszego prawa do zwoływania jakiegokolwiek zjazdu do Muzeum. A więc wszyscy, którzy skutkiem jego odezwy przybędą do Rapperswilu, będą naturalnie najlepiej przyjęci i dopuszczeni do zwiedzenia Muzeum, ale nie będą mogli uczestniczyć na zebraniach Rady; tylko osoby, wchodzące w skład stowarzyszenia Muzeum (członkowie założyciele, honorowi, wieczyści i korespondenci), będą mogli uczestniczyć na ogólnych zebraniach, ale jedynie z głosem doradczym".

Więc wybiera się p. Gałęzowski nie wpuścić na posiedzenia ani dra Kopery, który jest delegatem krakowskiej Rady Miasta, ani delegatów Towarzystwa opieki nad zabytkami, ani autorów oskarżenia, więc dra Dobrzyckiego, Stefana Żeromskiego, W. Karczewskiego, St. Szpotańskiego i innych.

Instytucyę dyabli wezmą, ale Rużycki będzie uratowany!

Dyrektor Gałęzowski zapewnia co prawda w dalszym ciągu odezwy, że zarząd Muzeum sam zaprosił „wybitne i powszechnie znane osobistości", których spisu nie podaje; natomiast z informacyi „Nowej Reformy" wiemy, że to troskliwie wyszukani przyjaciele, z wyjątkiem jednego Sienkiewicza zgoła nie reprezentujący naszej kultury, przedewszystkiem zaś — żadni fachowcy!

Odezwa p. Gałęzowskiego nie uśpi opinii, nie odwróci jej sądu nad gospodarką rapperswilską. Co zaś do zwrotów uszczypliwych o pułkowniku Miłkowskim, to „Słowo Polskie" słusznie je zakwalifikowało jako „bufonadę biurokratyczną". Lepiej było nie wydawać odezwy...

Z RAPTULARZA.

ROZSZERZENIE GRANIC PRZYSZŁEJ GUBERNII CHEŁMSKIEJ. Komisya dla wniosków ustawodawczych Dumy poczyniła zmianę granic przyszłej gubernii chełmskiej, proponowanych w projekcie rządowym wyodrębienia Chełmszczyzny.

Rząd mianowicie, projektując granice przyszłej gubernii, poprowadził granice w ten sposób, by przyszła gubernia, obejmowała większość prawosławną ludności, wychodząc z założenia, że wyznanie pokrywa się z narodowością.

Komisya wspomniana zajęła jednak inne stanowisko, zwłaszcza, że rządowi nie udało się wykroić granicy gubernii, w ten sposób by większość w niej była prawosławną. Wychodząc więc ze stanowiska etnograficznego, Komisya dla wniosków ustawodawczych nakreśliła własny projekt granic, znacznie większy obszar kraju obejmujący.. Zdaniem Komisyi dawnych rosyjskich unitów, którzy przeszli w r. 1905 na katolicyzm, nie można skazywać na spolszczenie przez pozostawienie ich w obrębie Królestwa Polskiego.

Wedle projektu Komisyi obszar przyszłej gubernii chełmskiej zamieszkiwać będzie 896216 mieszkańców, podczas gdy projekt rządowy przeznaczał dla przyszłej gubernii tylko 757408 mieszkańców.

JÓZEF KOŚCIELSKI. W majątku swym Miłosławiu w zaborze pruskim zmarł b. m. Józef Kościelski. Dzięki wielkiej swej inteligencyi i niepospolitym zaletom osobistym wyrósł on ongi na terenie parlamentu niemieckiego na wpływowego polityka. Ugodowiec, partyzant dworski, rychło jednak pozbył się złudzeń, które prowadziły na manowce służalczej wobec rządu polityki prowadzone przezeń Koło polskie. Niebawem wycofał się z życia parlamentarnego i osiadł w majętności swej Miłosławiu, gdzie aż do zgonu pełnił wzorowo swoiście pojmowane obowiązki obywatelskie.

DOKUMENTY KULTURY XX. WIEKU. Przed sądem w Gracu rozegrała się kilka dni temu sprawa, rzucająca jaskrawe światło na poziom kultury ludności alpejskich krajow austryackich. Oskarżonym był wieśniak ze wsi Pöllan w okolicy Gracu przez aptekarza o oszczerstwo i obrazę czci. Twierdził bowiem, że aptekarz zarzyna corocznie dwu ludzi, których sadło trzymane w aptece daje moc uzdrawiającą lekarstwom.

Rozprawa wykazała, że oskarżony powtarzał tylko pogląd ogółu mieszkańców wsi na trzymanie ludzkiego sadła w aptekach celem czarowania leków.

Do apteki „braci miłosiernych" w Gracu przybywają wieśniacy styryjscy z dalszych okolic z powodu przekonania, że w niej „mają prawo" trzymać sadło aż z 7 nieboszczyków, co oczywiście niezmiernie wzmacnia skuteczność jej lekarstw.

ZAMACH NA WOLNOŚĆ DRUKU. W wniesionej 21. lipca reformie regulaminu Rady państwa, znajduje się ustęp, który w razie uchwalenia go, unicestwiłby w Austryi wolność druku, nawet w tych szczupłych ramach, w których istnieje. Obecnie ma prokuratorya zupełną swobodę w konfiskowaniu niewygodnych opinii i wiadomości i naogół hojnie z niej korzysta. Galicya, od czasu objęcia rządów przez dr. Bobrzyńskiego, stanowi pod tym względem chlubny wyjątek, ale np. pisma czeskie i włoskie podpadają ustawicznym konfiskatom, trafiają się tygodnie, w których podpada konfiskacie 23 pism w Austryi! Konfiskowano cytaty z Schillera i „Pana Tadeusza", w Czechach wezwanie do bojkotu niemieckich towarów (bez motywacyi), pisma teoretyków socyalistycznych, dzieła filozoficzne i t. d. Konfiskata artykułów polemicznych naraża oczywiście pismo na poważne straty finansowe, ale znacznie groźniejszem dla swobody druku jest możność konfiskowania pewnych wiadomości lub książek. Częściową obronę wolności druku stanowi tu jednak prawo immunizowania książki lub artykułu przez odczytanie w parlamencie. Jako interpelacya dostaje się wówczas dana wiadomość, czy książka do wiadomości ogółu i to czyni konfiskaty tego rodzaju (książek, broszur, informacyi dziennikarskich) bezprzedmiotowemi.

Otóż wniesiony projekt reformy ustawy z 12. maja 1873 jest zamachem na to właśnie kardynalne prawo konstytucyjne w stosunkach austryackich, jest ciosem śmiertelnym dla wszelkiej wolności druku. §. 1 projektowanej ustawy orzeka, że „prezydent izby winien usunąć wszystkie pisma, wpływające do Izby, w których mieszczą się ustępy, uznane za karygodne lub konfiskatą dotknięte".

Ustęp ten, włączony jest w obszerny projekt reformy regulaminu Izby, mający uniemożliwić obstrukcyę, nie stoi zatem w żadnym związku z całością ustawy. Jest on wyraźną próbą przemycenia wraz z podstawą sanacyi stosunków parlamentarnych, zniesienia kardynalnego prawa konstytucyjnego. Od dobrej woli rządu zależałoby wówczas w zupełności przypuszczenie do wiadomości ogółu niewygodnych dla siebie wypadków, szerzenie wszelkich przeciwnych mu opinii i to bez odwołania. Taki stan rzeczy różniłby się od cenzury prewencyjnej tylko dodatkiem kosztów nakładu.

Wniesienie nowego projektu jest o tyle niebezpieczne, że dwa najsilniejsze stronnictwa Izby, t. j. niemieccy narodowcy i chrześcijańsko-społeczni pójdą bezwzględnie za wszelkiem ograniczeniem praw konstytucyjnych, ponieważ dla nich nie wypływa stąd w żadnym razie niebezpieczeństwo, a ogranicza działalność tak stronnictw wolnościowych w ich narodzie, jak i narodów „mniej wartościowych". Mamy wszelką nadzieję, że nowe Koło nie splami się głosowaniem za tą częścią projektu.

KONFLIKT MAROKAŃSKI zaostrzył się znacznie, choć niebezpieczeństwo wojny prawdopodobnem nie jest. Pomiędzy Niemcami a Francyą, pragnącą za wszelką cenę niedopuścić do usadowienia się groźnego sąsiada na pograniczu jej posiadłości śródziemnomorskich w Agadirze, rozpoczęły się pertraktacye, w ciągu których! Niemcy, świadome swej olbrzymiej przewagi, zaczęły stawiać wręcz niesłychane warunki. Za zrzeczenie się fikcyjnych praw do Maroka i wycofanie sił zbrojnych z Agadiru zażądały oddania całego francuskiego Konga, wraz z dwoma najlepszemi portami Dolnej Gwinei Libreville i Loange, kolonii przewyższającej wartość całego Maroka. Widocznie musiała zachodzić obawa, że Francya ulegnie temu żądaniu, ponieważ Anglia widziała się zmuszoną rzucić niedwuznacznie swój głos na szalę. Ponieważ zajęcie wymienionych portów stwarzałoby dla Niemiec jeszcze lepszą podstawę dla floty niż Agadir, a ponadto wprowadzałoby ich w sąsiedztwo belgijskiego Konga, w którem zaangażowane są poważne kapitały angielskie, założyła Anglia stanowcze veto. Uczynił to w swojej mowie min. skarbu Lloyd George, jeden z najbardziej pokojowo nastrojonych mężów stanu i zaznaczył, że Anglia nie dąży do utrzymania pokoju za wszelką cenę. Równocześnie skoncentrowano w Plymouth eskadrę atlantycką. Energiczna postawa Anglii zmusi prawdopodobnie Niemcy do zreflektowania swoich żądań, choć w każdym razie obłowią się dobrze na sprawie marokańskiej.

WALKA O BILL OF REFORME dochodzi do ostatniego stadyum. Po dwukrotnym werdykcie wyborców dalszy opór lordów sprzeciwiałby się wielkim tradycyom politycznym Anglii i rzeczywiście 20. lipca przyjęła izba wyższa bill o skasowaniu swego veta bezwzględnego i zastąpienia go trzykrotnem odraczającem. Uchwaliła jednak poprawki wyłączające z tego prawa sprawy prerogatyw monarchy, następstwa tronu, kościoła urzędowego i autonomii prowincyi, co jest szczególnie ważne ze względu na przyobiecany Irlandyi homerule. W sprawach tych miałoby decydować referendum ludowe. Liberali na poprawki te zgodzić się nie chcą, a rząd grozi mianowaniem nowych lordów dla przeforsowania ustawy. Sprawa ta rozogniła namiętności i była powodem niewidzianych oddawna w parlamencie angielskim scysyi. Nie ulega kwestyi, że lordowie ostatecznie ulegną. Nowy bill jest pierwszym wypadkiem usunięcia w Europie przywileijów Izby wyższej.

Z PERSYI brak wciąż jeszcze stanowczych wiadomości. Nie ulega kwestyi, że powrót byłego szacha zorganizowała Rosya, aby tą drogą odzyskać w Persyi dawne wpływy. Za szachem oświadczyli się Turkomani, a w ręce jego wpadło najważniejsze miasto perskie nad morzem kaspijskiem Asterabad. Demokraci szykują się do obrony. W Teheranie pochwycił władzę komitet ocalenia publicznego i rozpoczął rządy postrachu przeciw reakcyonistom. Zmuszono do ucieczki niepewnego premiera Sipahdara, a eks-szacha skazano zaocznie na śmierć. W Tebrysie objęła dyktaturę rada miejska, obronę utrudnia jednak zupełny brak regularnego wojska i rozpuszczenie pod naciskiem Rosyi oddziałów kaukazkich, której w głównej mierze rewolucya zawdzięczała zwycięstwo.

Zeszyt XXXIV—XXXVI. ukaże się dnia 1. września.

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. LIPIEC-SIERPIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

Część pierwsza.

Część druga.



Dodatek artystyczny.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranica		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**